

Zadanie dofinansowane
ze środków MKiDN
w ramach

ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

IMIIONA ULIC

W Gorzowie jest co najmniej 500 ulic. W tej liczbie 194 z nich nosi nazwiska lub imiona wybitnych ludzi, w tym m. in. 44 – polityków, 44 – naukowców, 28 – pisarzy, 28 – generałów, 27 – związanych z regionem, 16 – kultury i sztuki, 10 – władców, 8 – malarzy, 7 – rodzin, 6 – bohaterów literackich, 4 – muzyków, 2 – sportowców.

Redakcja „Pegaza Lubuskiego” w cyklu artykułów, począwszy od bieżącego numeru, zamierza przybliżyć czytelnikom nazwiska mniej znanych, a zasłużonych przede wszystkim dla polskiej kultury i sztuki patronów gorzowskich ulic.

Rozpoczynamy od ulicy, którą wybraliśmy na miejsce (pod nr 31) redakcji „PEGAZA” i wydawnictwa „Arsenal” – ulicy imienia J.D. Janockiego. Kim był ów mąż dla polskiej książki, przypominamy w eseju Zdzisława Linkowskiego.

JAN DANIEL JANOCKI – BIBLIOFIL Z MIĘDZYCHODU



Krótki spacer przez Międzychód; stare miasto wciśnięte między Wartę i jezioro. Tędy szedł trakt kupiecki, tu powstał plac targowy, który dał początek miastu. Rozplanowanie miasta jak przed wiekami; układ staromiejski czytelny i zachowany. Z rynku wychodzą dwie pary ulic. Przy jednej z nich XVIII-wieczne domy szczytowe, zajmujące starą pierzeję, są reliktem minionej epoki, na trwałe wpisane w pejzaż miasta. Architektura dziś już rzadko spotykana, a jakże w tamtych czasach powiązana z charakterem gospodarczym Międzychodu. Miasto to było jednym z większych ośrodków sukiennictwa w Wielkopolsce. Dobre warunki rozwoju tkactwa sprawiły, że ciasno było rzemieślnikom w obrębie starego miasta, założono więc obok nowe, a na pamiętkę tego



Biblioteka Załuskich - ok. 1790 - Z. Vogel akwarela

Marek Grewling

SYNDROM PROCHORA PIOTROWICZA, CZYLI NASZE TROSKI POWSZEDNIE

Przed nami czas kanikuły, dlatego z ulgą snujemy wakacyjne plany. Można będzie na jakiś czas odsunąć od siebie troski. Tak się zaś składa, że troski niechętnie oddalają się od człowieka, ba mają wiele odcieni i barw. Jedne są prozaiczne, inne mają jakby głębszy wymiar, taki uniwersalny i nieustępliwie uparty. Są też troski z gatunku tych, które ukażą swe oblicze podczas wakacyjnych lektur i chwil zadumy, którym jakże przecież sprzyjają miesiące letniego odpoczynku.

Ludzie wszystkich czasów są zatroskani o swój los i przyszłość. Troski mają uzasadnione motywy. Niosą też niechybne skutki. Troszczymy się indywidualnie o zabezpieczenie bytu, czy mówiąc najprościej o pieniądze na chleb i na masło do niego. Jednak troska ludzka o zabezpieczenie dóbr materialnych i wszystkiego, co jest potrzebne do życia ma dużo szersze przełożenia. Społeczeństwa organizują się w struktury państwowo-narodowe, oraz – czego doświadczamy współcześnie i nie tylko – w ponadnarodowe organizacje, które mają służyć zabezpieczeniu jednostek i całych narodów. Tu następuje delikatne tapnięcie pomiędzy zdrowo rozumianą troską człowieka o siebie i bliskich, a zawłaszczaniem jednostki przez przedziwne mechanizmy, które dążą do odebrania ludziom wolności osobistej i uczynienia z jednostki trybu w tajemniczej maszynie wymykającej się spod kontroli pojedynczych ludzi. Tak rodzą się superimperia. Pytanie o ich genezę opiera się zawsze na trosce o dobro wspólne jakiejś społeczności.

W dzisiejszej dobie człowiek znów jakby uległ czarowi troszczących się o jego dobro i bezpieczeństwo superorganizacji. Zatem, pytanie o genezę tyranii, która w złożeniu powstawała po to, by chronić jednostkę i troszczyć się o jej bezpieczeństwo, nadal jest aktualne. Jaka więc jest przyczyna tej niebezpiecznej nadtroskliwości? Odpowiedź jest banalnie prosta. Zawsze gdy człowiek traci osobiste oparcie w akcie jakiegoś silnego wewnętrznego przekonania, wkrada się do jego serca strach o przyszłość. Gdy moje własne Ja nosi imię „nic”, moje poczucie

bezpieczeństwa, w najgłębszym tego słowa znaczeniu, zanika. Życie staje się niepewne i nieznosne, gdyż nie ma już gwarancji, że ktokolwiek będzie przestrzegał jakichkolwiek zasad, które chroniłyby akurat mnie. Brak zasad – im powszechniejszy, tym bardziej niesie ze sobą strach. Strach o przyszłość, tą najbliższą i tą metafizyczną, zagrożoną przez nas samych. Paradoksalnie, człowiek budując strukturę superpaństwa i superprawa, które mają być panaceum na brak moralności i powszechnych kryteriów, czyli jasnych ograniczeń na linii dobro – zło, chce obronić siebie i swoje osobiste szczęście, dostatek i powodzenie przed... sobą samym. Straszne w przesłaniu, bowiem taka nieufająca we własne dobro społeczność jawi się jak statek pijany par excellence. Skutki są czytelne, bo wystarczy – jak wspomniałem – przeszedźć dotychczasowe losy imperiów, które miały troszczyć się o dobro i bezpieczeństwo czy to Rzymian, czy dzieci Świętego Cesarstwa, czy Wielkiej Rewolucji Oświeceniowej, czy Proletariatu, czy Narodowego Socjalizmu. Dlaczego o tym piszę? Ku przestrodze. Człowiek, który zachowuje autonomię, nie ma potrzeby stawiać się częścią składową trockistowskiej armii pracy na przykład. Zachowuje wolność osobistą i to co najważniejsze: wiarę w siebie. Autonomia rozwija talent osobisty, nakazując stanowczo samodoskonalenie, przypomina nieustannie o tym, że nawet średnio znośny los na tym świecie nie jest determinantem życia, lecz zaledwie przedsiönkiem tego, co najważniejsze – wielkiego aktu tworzenia, jakim jest moje życie. Wówczas nawet pozornie banalne życie, czy dotknięte stygmatem nieszczęścia – okaże się pełne sensu i bogate w treść. Jednak w efekcie ostatnich ponad dwudziestu lat nagonki nihilizmu moralnego oraz destrukcji koncepcji człowieka coraz częściej spotykamy ludzi pozbawionych wszelkich zasad i na dodatek nieuznających żadnych autorytetów. Okazuje się, że tak wielu ludzi boi się wolności. Tak wielu za nic ma humanizm. Tak wielu stało się namiastką człowieczeństwa... Kto dzisiaj czerpie wzory z matryc literackich, które rysują jasne kryteria podziału na dobro i zło na przykład? Troski li tylko materialne zajmują naczelne miejsce w przewodnikach ludzkich poczynañ, nie pozostawiając miejsca na to, co jest bazą powstawania cywilizacji. Jaka staje się mentalna konstrukcja naszych antenatów nieczytających, dokarmianych marną paszą intelektualnej popkultury? To pytania retoryczne. Zaś ludzie pozostali jak najbardziej realni. Dziwni ludzie. Może straszni ludzie? Przypomina mi się scena z „Mistrza i Małgorzaty”, w której ważny urzędnik, niejaki Prochor Piotrowicz, siedzi za biurkiem, rozpatruje sprawy, pisze raporty, ale tak naprawdę okazuje się, że jego tam nie ma... Owszem, jest garnitur, pusty garnitur bez człowieka. Ot, taki urzędnik doskonały, bez twarzy i bez ciała. Ta metafora odnosi się do człowieka, który stracił tożsamość, zobojetniał na to, kim jest, bo nie jest nawet manekinem. Z człowieka pozostał jedynie pusty garnitur. Prochora Piotrowicza nie dotyczą cierpienie i ból. Stał się nikim w imię nieskazitelnego, pustego garnituru... Lecz pusty garnitur, choćby najbardziej renomowanej marki, nie zastąpi człowieka. Nigdy. Oto troski nasze powszednie.

Marek Grewling



Rys. J. Landau

Karol Graczyk

* * *

Nie widzieliśmy się dzień
albo dwadzieścia trzy lata.
Skreśliłem godziny odjazdów
i przyjazdów tykających pociągów.
Pod skreśleniami piszę i myślę
to zabawne. To dzieje się teraz;
jest mnie więcej, albo w ogóle nie było.

Można by to narysować tak:
po zdjęciach, które ci zrobiłem
na końcach kadru zostały odciski
fleszy: nad łóżkiem,
przy lewej poręczy balkonu,
naprzeciw lustra w przedpokoju,
na stole tych wszystkich mieszkań
ciągle rozlewam za ciebie herbatę.

LEKCJA DOKTORA CHARCOTA W SALPETRIERE

pamięci Tomka

Okna w naszym domu są tak czyste
że ptaki rozbijają się o szyby
one nie mieszczą się w ramach

nie będzie już książek obrazów
ani ud tej którą dobrze znamy
kiedy na poboczu jezdni wtulasz się
w pokrzywy z wieżowców na ulice
skaczą ochotnicy i sensu nabiera zdanie
albo nie żyją albo się dymali

ona teraz leży na łóżku i czyta:

wiesz, kupiłam wczoraj zestaw szklanek
wspujesz do nich echo
zbijam je dwukropek niech nam stopy kaleczą

kochamy się. leżymy w łóżku plecami
do siebie
nie rozmawiamy zostaje nam czekać
dzieci wrócą do domu z twoimi prochami
na butach

ważnego wydarzenia posadzono na jego rynku dąb, dziś pomnik przyrody nadwarciański.

Na granicy starego i nowego miasta znajduje się najstarsza budowla Międzychodu — kościół o cechach późnego renesansu, którego fundatorami byli znani w Wielkopolsce Ostrorogowie. W pobliżu tryska źródło mineralne. Na przeciwnym krańcu międzychodzkiej starówki wyrosła ze wsi Lipa dzielnica miejska, związana z działalnością rodu Unrugów, fundatorów kościoła protestanckiego.

Dziwne i charakterystyczne zarazem były losy tej rodziny pochodzenia niemieckiego. Jako pierwsi ze szlachty niemieckiej osiedli Unrugowie w okolicach Kargowej, Międzychodu i Sierakowa.

Wtapiając się szybko w polskie społeczeństwo, niejednokrotnie zasłużyli się dla polskich spraw publicznych. Pociągali oni za sobą osadników niemieckich zza Odry. Jednym z nich był Jan Jerzy Jaenisch, zniemczony Serb łużycki, z zawodu krawiec, później kupiec handlujący drewnem. Jego to właśnie syn został w dniu 6 stycznia 1721 roku ochrzczony w kościele ewangelickim i wpisany do ksiąg jako Jan Daniel Jaenisch, późniejszy Jan Daniel Andrzej Janocki.

Jest ciągle w klimacie Międzychodu coś z aury tamtego wieku. Uliczki, domy, studnie, port, z którego być może spławiał drewno Jaenisch do Szczecina. Troska o życie kulturalne jest tu wielowiekową tradycją. W takim klimacie wychował się właśnie Janocki. Jego międzychodzkie lata wpłynęły na późniejsze zainteresowania i osiągnięcia bibliograficzne. Chodził do szkoły parafialnej, o której już na pocz. XVIII wieku napisano: *Dom szkolny znajduje się na cmentarzu kościelnym, w nim uczą się dzieci*. Chodzi tu zapewne o budynek szkolny stojący przy kościele na starym mieście. Oba kościoły, katolicki i ewangelicki, posiadały biblioteki, do których najwcześniej sięgnął Janocki. Znana mu była również biblioteka synagogi międzychodzkiej, którą zajmował się rabin Reble Salomo, człowiek na owe czasy i prowincjonalne warunki bardzo światły.

Już jako młodzieńca zainteresowały Janockiego biblioteki okolicznych klasztorów. W pobliskim Sierakowie, w pobornardyńskim klasztorze znajdowała się spora biblioteka druków świeckich, będących pozostałością szkoły założonej przy pomocy Jana Amosa Komeńskiego, a prowadzona przez bakałarzy Akademii Krakowskiej. Nie pozwolono mu jednak na bliższe zapoznanie się z zasobami tej biblioteki z powodu jego wyznania protestanckiego. Tego argumentu nie powtórzyli jednak katolicy duchowni opiekunowie biblioteki w Bledzewie, Obrze i Paradyżu. Szczególnie bogate biblioteki znajdowały się w Paradyżu i Bledzewie; ta ostatnia posiadała 6 tys. tomów, w tym wiele druków polskich. U polskich opatów szukał Janocki opieki. W 1742 roku opatem paradyskim był Andrzej Stanisław Kostka Załuski. Brat jego, Józef, był opatem w Przemęcie i tytularnym proboszczem babimojskim. Natomiast opat bledzewski, Aleksander Benedykt Gurowski — bliskim przyjacielem obu braci Załuskich. Pierwsze wizyty Janockiego we wspomnianych bibliotekach zapoczątkowały długoletnią współpracę i przyjaźń z rodziną Załuskich, założycieli jednej z największych polskich bibliotek.

Ścisłe kontakty J. D. Janockiego z Załuskimi nawiązane zostały dopiero podczas jego studiów w Dreźnie i Pforcie. Nauczycielami byli tam znani wtedy w Niemczech bibliofile. Wkrótce ukazują się drukiem jego pierwsze prace bibliograficzne, w tym traktujące o literaturze polskiej. Przedstawiony został oficjalnie kanclerzowi Andrzejowi Stanisławowi Załuskiemu, dedykując mu swą wydaną w 1745 roku w Lipsku książkę pt. „Litterarum in Polonia instauratores”.

Jeszcze w tym samym roku Janocki wyjeżdża do Warszawy i zostaje sekretarzem J. A. Załuskiego. W dwa lata później Załuscy tworzą w Warszawie Bibliotekę Publiczną. Janocki zajmuje się tam niemal wszystkim: porządkuje księgozbiór, sporządza katalogi, przygotowuje do druku swe dalsze prace poświęcone polskiemu piśmiennictwu. Pomimo że posługuje się na co dzień językiem niemieckim, czuje się Polakiem, a Polskę uważa za swoją ojczyznę, o której pisze: *Ich liebe mein Vaterland und ich kann diese Liebe nicht verlangen, wenn auch wollte*.

Znamienne jest jego oddanie sprawie, a mniej istotne są dla niego sprawy narodowościowe. Pozbawiony jest narodowościowego szowinizmu. Są to przecież czasy ścisłych związków

Polski i Saksonii, czasy wprowadzie kontrowersji politycznych, ale również epoka zrozumienia polsko-niemieckiego, wzajemnego poszanowania kultury, tradycji i języka. Namiętności budzą jedynie jeszcze sprawy religijne. Wyznanie protestanckie Janockiego nie jest na rękę Załuskiemu. Namawiają go do przyjęcia katolicyzmu. Początkowo waha się, mając na uwadze tradycje rodzinne, lecz w końcu ulega. 30 listopada 1750 roku przyjmuje uroczyste w kościele kapucynów w Warszawie katolicyzm, a następnie święcenia kapłańskie. Fakt ten umożliwił mu dalszą karierę w fundacji Załuskich, a także przyniósł pewne godności kościelne, w ślad za którymi szły dywidendy finansowe.

Zostaje najpierw kanonikiem w Skalbierzu, a w 1760 roku kanonikiem kijowskim, następnie w 1773 roku tytularnym proboszczem w Babińcu. To ostatnie nadanie otrzymał od króla Stanisława Augusta, co jednak nie przyniosło mu żadnych dochodów.

Przejście Janockiego na katolicyzm odbiło się głośnym echem wśród protestantów saskich, którzy nie szczędzili mu szkalowania. Poróżnił się również z rodziną swej matki.

Od 1751 roku jest Janocki prefektem Biblioteki Publicznej Załuskich. Oddaje się pracy nad katalogami książek autorów polskich, gromadzi materiały do biografii słynnych mecenasów kultury i nauki oraz polskich uczonych.

Wydaje we Wrocławiu dwie książki: „Lexicon derer itztlebenden Gelehrten in Polen” i „Polnischer Büchersaal”.

W miarę pracy rozrasta się sfera jego zainteresowań. Humanista z kształcenia zajmuje się teraz naukami przyrodniczymi, geografią i kartografią, interesuje go prawo polskie oraz historia Polski. Wydaje drukiem kolejne prace: „Musarum Sarmaticarum specimina nova” i „Sarmaticae Litteraturae nostri temporis fragmenta”.

J. A. Załuski pisze o nim: *Książd kochany Janocki, kanonik kijowski, prefekt mojej księgarni, różne powydawał, różnych czasów o rzeczach skrypta literackich, częścią łacińskim, częścią niemieckim językiem. W nich uczonych Polaków i dawniejszych wieków, i naszych czasów pisma, wytknąwszy pamięci, lub wzmianki godne i pism autorów pochwalił...*

Był Janocki oddany Załuskiemu bez reszty, na dobre i na złe. Nawet wtedy gdy nadzór nad Biblioteką Publiczną przejęli jezuiti, a Załuski uwięziony zostaje w Kałudze, zabiega o uwolnienie swego mecenasa. Po śmierci Józefa Załuskiego Biblioteka staje się własnością Komisji Edukacji Narodowej, pierwszego w Europie ministerstwa oświaty.

Lata mozolnej pracy nad księgami odbijają się na zdrowiu Janockiego. Coraz bardziej psuje się mu wzrok. W 1775 roku oślepił zupełnie, lecz nie zrezygnował z dalszej pracy; kończy jedno z najwartościowszych dzieł swego życia: „Janociana sive clarorum



Strona tytułowa kodeksu rękopiśmiennego ze zbiorów Biblioteki Załuskich opracowanego przez Jana D.A. Janockiego, wydany w Dreźnie 1752

atque illustriam Poloniae...”, dedykując je swojemu pomocnikowi.

Umiera w Warszawie 29 października 1786 roku.

Ten skromny międzychodzianin wychowany na skraju przenikań kulturowych polskich i niemieckich, poświęcający swe życie nauce i książce, doczekał się uznania od współczesnych. W jego pracy dostrzeżono zasługi dla Polski. Jego śmierć odnotowana została w „Gazecie Warszawskiej”, gdzie w numerze 86 z 1786 roku czytamy: *Z Warszawy d. 8 listopada. W przeszły czwartek wieczorem odprawiła się do kolegiaty tutejszej eksportacja ciała śp. I. X. Jana Daniela Janockiego, kanonika kiiowskiego, prefekta Biblioteki Publicznej Żałuskich, które przyjmowane było od I. J. X. X. prałatów i kanoników mających na czele I. X. Cieszkowskiego, biskupa kiiowskiego. Nazajutrz nastąpił tamże pogrzeb przy wspaniałym katafalku...*

Przyszły lata zaborów i mimo że Biblioteka Publiczna Żałuskich istniała, czas zacierał pamięć o jej organizatorze. W kilkadziesiąt lat później J. Łukasiewicz wizytujący wewnątrz katedry św. Jana w Warszawie pisze: *Prócz pomników wyżej wypisanych są w świątyni tej inne jeszcze z wieków upłynionych, jako to: herby Wazów, Łubińskich, Goślickich, Wierzbowskich, Latałskich. W grobach jej spoczywają zwłoki Janusza księcia mazowieckiego, zmarłego w 1428 r. i Bolesława III księcia mazowieckiego, zmarłego w 1453 roku. Obydwaj nie mają żadnego pomnika, podobnie jak i Janocki zasłużony bibliograf polski, tutaj pochowany.*

Zdzisław Linkowski

Artykuł opublikowany w marcu w 1978 r. na łamach nieregularnika „Ziemia Gorzowska”.



Powyżej: Ulica J.D. Janockiego – kierunek na Plac Jana Pawła II.

Poniżej: plan sytuacyjny ulicy J.D. Janockiego.

Marek Lobo Wojciechowski

BEZKSZTAŁT

Prawda jest gdzieś pomiędzy
chęcią dotyku, a dotknięciem,
między wyobrażeniem, a widokiem.

Może dlatego nie jeździ do Luwru,
nie kocha modelek. W pół drogi
wysiada na bezimiennej stacji, różnej

datą, porą roku. Czeka na rzeczy stałe
jak kamienie, czy drzewa. Choć one
też falują – zostanie garstka piachu,

lepki pył ogniska; mierny efekt wysiłku
utrzymania struktur. Szacowne prochy.

DWA KILOMETRY W BOK OD GŁÓWNEJ

Jeden zasilek na sześć osób,
więc obok bloku kury i króliki.
Nie dawali im imion, bo są
do jedzenia, ale pamięta; kiedyś miała
Pstrokatą i Czubatą, i parkę króli:
Stasia i Nel. To z książki, jednej z dwóch,
których nie przeznaczyła na rozpałkę.

Wieczorami lęgną się myśli spod
spodu; leniwe rozmazy, zagładające
z tyłu, w miejsca niewidoczne. Jest wtedy
straszniej, ale i lepiej, i inaczej. Bardziej
w sobie jest, jak wczoraj, gdy walnęło skądś
jakby rypnął kamor jakiś albo meteoryt –
niepotrzebny kawałek nieba.

VON KLEIST – WPRAWKI DO OSTATNIEGO LISTU

(Świetlickiemu, no bo komu?)

Tak. Zacząć należy od: mieć siedemnaście lat
i wejść w seks. Potem robić to częściej, różnie,
sobie. Leżeć w przytuleni i naturalnie na krawędzi
rosnącego bąbla jasności i cieszyć się pełgającą
chwilą (nie tu nadnaturalnego, czas jest kolejnym
wektorem, jedną ze współrzędnych). I żyć. Potem
mieć kogoś i napisać parę listów, z których powieje wiatr
osobliwych, najmniejszych drgnień. Nosić je przez sny
i ufać, że dotrą. (Nieważne, że tylko ministranci wierzą,
a i to co najwyżej przez rok). Wszystko należy robić
w ten sposób, aby znaleźli nas w ustalonym miejscu –
cicho i rozważnie. Ponieważ miłość chyba jest. Tak.

Tadeusz Wyrwa-Krzyżański

„Życ, czyli kochać”

Posłowie Beaty Patrycji Klary do najnowszej książki
Tadeusza Wyrwy-Krzyżańskiego „Kochanie miłości”

*I tak jak każdy wiem, że z tego jest moja
podwalina,
że jak każdy mogę żyć: czyli kochać*
T. Wyrwa-Krzyżański



KIELNIA – jak podaje słownik języka polskiego – narzędzie służące do nakładania zaprawy przy murowaniu i tynkowaniu. W związku ze swoim przeznaczeniem nie jest więc narzędziem zbyt często odnajdowanym w poezji, nie należy do kręgu poetyzmów, jednak nie w tym przypadku. Tadeusz Wyrwa-Krzyżański kielnię właśnie na pierwszym miejscu osadził w swoich wierszach. Kielnię jako metaforę, jako podstawowe męskie narzędzie budowania domu, którego nie ma, domu, który powstaje między kobietą i mężczyzną. *Ja i ty – jesteśmy domem, który jest, a ma takie ściany, które są niewidoczne – bo to są nasze oddechy; w nich są wpisane fugi milczenia („Lotnisko”); Aby dom nasz był naszym domem, nie trzeba nam nic, ani nikogo („Wypełniam ci usta i tętnice”).* Dobrze użyta kielnia *Kielnią z aksamitu dotykam ciebie wszędzie, dotykam, aż po rękęjść rozkoszy („Muślin z muślinów”)* powoduje, że dom jest wielopiętrowy i składa się z wszelkich potrzebnych mu elementów. Ma swoje fundamenty, cegły, mury. Te cegły zaś składają się z piasku, wody i wapna: *Ach, zleję się wapnem – w tobie. Tylko mnie dotknij (...) Tylko dosyp do mego imienia, do mego nasienia-piasku twoich palców, doleję – bo i tak wyschnie – wody; wody – uniesienia („O, kobieto”).* Ten dom ma piwnice, strychy, jest umeblowany: *Nasz dom ma swoją tajemnicę: wejść do niego można od środka („Mogę nic nie znaczyć”); Zaraz mi stanie się cały dom. Dotknij tego twardego, upieść go tę świecę krwi („Ciemnica jasności”).* To jest dom wyjątkowy, który może zostać postawiony wszędzie: *A dom zacznie się dziać w parku i na dworcu, w windzie – i na polanie, w przypadkowej klatce schodowej lub w bramie („Ciemnica jasności”).*

Zagadnienie domu w twórczości autora wcale nie dziwi, gdyż jest to stała tendencja w jego wierszach, zwana **domizmem** lub wymiennie **sadybizmem**. Leszek Żyliński nazwał to „fetyszem domu, udomowienia świata i przestrzeni, poszukiwania ducha wartości nad skołataną głową, czyli ścian i podłóg, które tworzą miejsce na ziemi i są szansą obrony przed alienacją”. Znajomość tych słów w kontekście twórczości Wyrwy-Krzyżańskiego jest koniecznością do prawidłowego rozumienia tej poetyki. Są bowiem w wierszach poety takie miejsca, gdzie nieobyty czytelnik może zostać wyprowadzony z równowagi, obrażony nawet – zwłaszcza jeśli z niechęcią wymawia słowa typu krew, pot, sperma, sutki, kurwa, a zdanie: *Dlatego będę się z tobą jak od wieków i po staropolsku: ruchać* potraktuje li tylko wyłącznie jako rubaszne *obscoenum*, jako świntuszenie, godne jedynie napiętnowania. A przecież nie o to chodzi. Świetnie o tym napisał Wacław Sadkowski, podkreślając, że „słowo erotyczne Krzyżańskiego brzmi mocno i czysto – a zarazem spokojnie, chciałoby się powiedzieć: godnie. To naprawdę cenny wkład w kształtowanie nowego języka polskiego literatury erotycznej”. Na potwierdzenie kilka pięknych cytatów opisujących

kobietę i jej wnętrze: *Nic się nie równa z twoim nimfem, w rozwarciu twych ud; Pisklę twojej płci, ten płci króliczek, ta wilgotna myszka („Bezwstyd wstydu”); Motylek twojej płci rozkłada skrzydelka („Ciemnica jasności”); Aż morski smak i zapach ma ten twój niezgłębiany i ciemny korytarz („Całość; kielnia”).* Język, jakim manifestuje się metaforyka aktu miłosnego Krzyżańskiego, jest bogaty, czerpie ze sfery kulinarnej *Oczywiście jest jeszcze lepki i słony wypływ z ciebie, który mam na swym ciebie lub go połykam („Zamykam oczy”),* rolniczej, ogrodniczej, zoologicznej *Och jakie w tobie są głębie – ja dla nich jestem parapetowym wróblem, jaskółką lub gołębiem („Całość; kielnia”),* a nade wszystko

budowlanej *Dajesz mi z siebie wszystko: pożywne twych uniżeń – strychy, pożywne twych uniesień – piwnice („Szept i krzyk”).*

Sam autor liczy się właśnie z tendencją płaskiego podejścia do tematu, pisząc: *Nasze zafascynowanie duszami, zmysłami i ciałami, wzbudzać będzie zaślepione oburzenie prowincjonalnych i parafialnych dogmatyków („Śmiecie się śmiecie”).* Tą drogą czytelnik nie może podążać, gdyż nie o to w tej poetyce chodzi. Hasłem podstawowym jest erotyzm umiejscowiony w opozycji *Seks i prokreację – zostawmy głupcom („Fraszka”).* Najważniejsza jest erotyka traktowana w poezji jako wartość niepodlegająca kryteriom innym niż artystyczne, zgodnie z ustaleniami Kanta o samocelowości sztuki i braku jakichkolwiek konieczności jej związków z kategoriami pozaestetycznymi, a zwłaszcza etycznymi. Nie ma się więc co wdawać w tego rodzaju dywagacje. Erotyzm Wyrwy-Krzyżańskiego nie jest konwencjonalnym ujęciem tematu, nie jest salonowym *sex appeal à la* przykładowo Tetmajer. Jest siłą witalną, jest możliwością wybudowania domu dla bezdomnych ludzi jakimi jesteśmy. To jest wymiar prywatny, intymny erotyzmu na użytek budowniczego i budującej (ewentualnie w przypadku triolizmu mamy dwie budujące). To nie seks dla seksu: *dla pośpiesznego i wysiłonego oddechu, dla psiej potrzeby i ejakulacji* tylko wchodzenie w świat siebie i drugiej osoby, czyli poznawanie dusz, czyli pełne uczłowieczenie: *ale ja tam taki jestem, że najczulej, czyli najbardziej człowieczo – mieszkam („Za łatwa mowa”).* Jest to swoiste nawiązanie do wszechsiły, która rządzi człowiekiem, bo z wierszy poety wynika, że coś rządzi, porusza tymi, którzy budują: *Oddam się temu co nami porusza („Kocham się z tym kochaniem”); Coś błaga się w nas – byśmy zaspazmowali się – i po komin, i może na amen („Całość; kielnia”).* To podejście do erotyzmu jako do zagadnienia transcendentnego. Akt powstania domu stanowi rodzaj dotknięcia wieczności i oddalenia przez to czyhającej śmierci: *Za chwilę wieczność powiesi nad nami Budowlany wieniec („Ty, taka ciasna i wilgotna”).* Ten akt budowy otwiera *te wilgotne drzwi, które wieczność lub Najwyższy przysposobił dla się-w-mieszkań („Śmiecie się, śmiecie”); W nas ciągle domowi się Wieczność. Zbliża się do nas w chwili rozkoszy, wtedy gdy my z niej umieramy („Och”).*

Jak więc widać wiersze Krzyżańskiego są wielopłaszczyznowe, są rodzajem erotycznego sejsmografu ludzkich dusz, a dzięki temu są warte czytania. To jest dobra współczesna poezja.

Wiersze wybrane

BEZ

Niektóre kobiety, gdy tylko mają do mnie
pociąg, zjawiają się bez zapowiedzi
i niczego.
Nagie.
aż do dna serca, drżą z emocji i zwierzeń.
A tak opowiadają z góry ułożone o sobie
bajki, że obawiają się jedynie
życia i wiadomej dżumy XX wieku.
Nie chcę mówić o sobie. Któraż by chciała
słuchać?
Niekiedy myślę, że pod skórą ich emocji
– na której modne błyski, jarzenia i bliki –
czai się nie tylko lęk, ale
i fałsz.
Bo jeszcze bardziej śmiertelna choroba żre
ich dusze.
Żadnych śladów i niepokojących objawów.
A jednak ta przesadna radość, skłonność
do skarnawalizowania bycia, wolny czas i seks,
confetti i serpentyny przyzwoleń
i orgazmów, to jakieś maski, znaki i oznaki
śmierci, która tak się bawi nimi, aż do utraty
pamięci, bez tchu, tchu, tchu i
wyobraźni.

STÓŁ

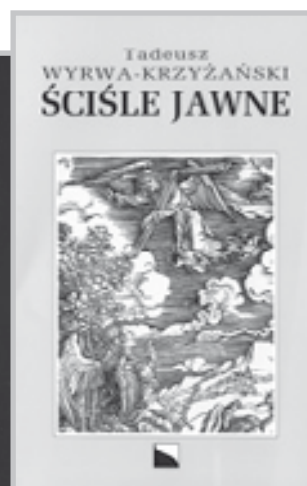
Wejdz, nie bój się – kawa czy herbata?
Przestań się rozbierać. Tu nie ma oka
kamery, a ja nie jestem
reżyserem, Haniu.

Znajdą się i tacy, co ciebie wezmą płytko.
Już cię topią w brudnej wodzie wyobraźni,
zasypywanej pustynią pornografii.
Ich domysły nie będą się czepiać
twojej poranionej skóry, dziury w wardze,
napuchniętych sutków i pośladków.
Przyznaj się!
Byłaś katowana przez tego pana co zrobił
z ciebie chłopca na posyłki
i do bicia.
W najgorszym przypadku miałaś być fotomo-
delką,
marzącą o roli filmowej
gwiazd. Wybił ci ją z głowy, za to wiele
miałas w oczach.

Zapewnił ci zajęcie – gdy mu się oddawałaś
bez reszty, którą właśnie możesz sobie
zatrzymać, Haniu.
I teraz masz za swoje – ten stół, w który on
ze strachu przed kimś nie mógł uderzyć, oto
odnalazł; w tobie. Wejdz. Ja ci nic nie zrobię.
Kawa czy herbata? Jodyna czy wata?

KRYSTYNA

Ostrożna była
od dzieciństwa, nawet teraz widać : dalej
tak być musi.
To jednak trzeba umieć : oddalać się od mężczyzn,
nim oni zdołają się
zbliżyć.
Chyba od razu w lusterkach jej oczu
było widać,
że są jej niepotrzebni. Poznałem ją,
po tym, od zaraz. Tak,
Krysta wołała być sama – lub
z kobietą.
W jej mieszkaniu – a całe jest dla przyszłej
nic nie widać, tylko
poduszki i poduszki.
Tak, ona chce od razu – by nic się
żadnej nie stało. Choć przecież po to są, by
było co być musi.
Cóż, jej preferencji, prócz mnie, nie odgadł
żaden mężczyzna. Co nie znaczy, że ustawałem
w uwodzeniu. Wprost przeciwnie – ! – Lesbijki
przecież budzą zmyły
i ciekawość. Nagie, a muszą być
jak ubrane. Ciekawe jak one to robią – bo ulga
we mnie być musi.
Ciekawe: może zabawialibyśmy się
każde z osobna... Ciekawe; ciekawe czy kobiecie
z kobietą, łatwiej jest
o wierność.
Krysta nie chce mówić o ojcu. Wiadomo: pił – i –
bił. Ciągłe miał jakieś dorywcze prace. Z Krystą
jest inaczej – prowadzi jakieś kobiece pismo – i –
organizację. A także, płacząc, boksuje
poduszki. A te – jej wtórują.



Z GÓRY OBIETNIC

Kiedys wyjdiesz
i staniemy znowu pod tym samym
sztandarem
wiatru.

Na moim drzewcu
z tchu,
stale łopocze to samo płótno
z deszczu i słońca.
I kamień słowa
już ciągle się toczy
z góry obietnic,
w fundament
rozmowy.

* * *

Jeszcze przed chwilą prowadziłem cię
do miejsc, gdzie człowieczeństwo
nasze mogło się przed cudzym
losem obnażyć.
My,
nie zjadani przez głód mięsa,
nie przekarmieni
wierszami Nowej Fali, nie wygłodzeni
wierszami Nowej Prywatności,
nie usiedliśmy okrakiem
na dachach
barykad.
Mój pochod był prywatny, moje
mieszkanie
stawało się publiczne. To jest zawsze
do pogodzenia.
Ciągle niosą dookoła siebie takie otwarte
ściany, w których dzielić się można
długo w nich ćwiczoną sercem,
aż stanie
się
kluczem, monetą, naczyniem.
Buduję słowami – obmywany
w mówionej strudze
cegła, ani jestem na pierwszej stronie
gazety, ani w ostatnim miejscu
biblioteki.
Chcę, abyśmy będąc przy sobie, byli sobą.
Wtedy można zawsze wrócić do domu,
wtedy zawsze
można wyjść na ulicę.

Tadeusz Wyrwa-Krzyżański

Rocznik 1947. Poeta, prozaik, krytyk literacki, grafik i malarz. Za pracę twórczą otrzymał m.in. nagrodę ZG ZLP im. W. Macha, nagrodę im. St. Piętaka, Medal Nowej Sztuki, nagrodę „Czerwonej Róży” – Pierścień, nagrodę II stopnia Ministra Kultury i Sztuki, nagrodę UNESCO – Światowego Dnia Poezji, nagrodę red. „Ziemia Nadnotecka”, Srebrny Krzyż Zasługi oraz odznaczenie „Zasłużony dla kultury polskiej”.

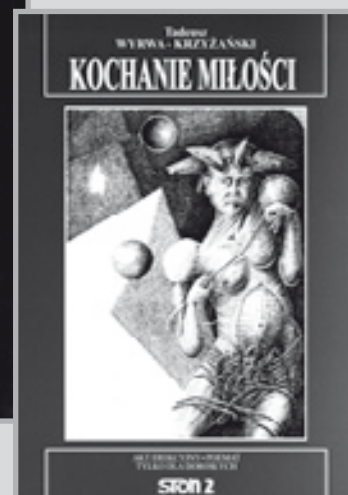
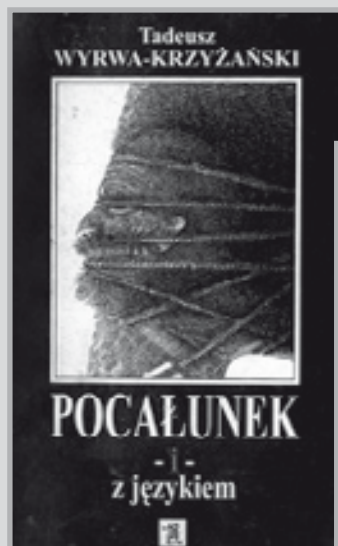
Jest autorem 4 tomów prozy, 9 książek dla dzieci i bardzo wielu książek poetyckich. Prace plastyczne prezentował w kraju i za granicą na ponad dwudziestu wystawach. Ukazało się 7 jego tek graphicznych.

Tytuły tomów poetyckich:

„Bez tytułu” (1971); „dom ust” (1977); „drugi dom” (1981); „Fugi z popiołu” (1984); „Adoracja śmietnika” (1987); „Akt erekcyjny. Poemat tylko dla dorosłych” (1988); „Wyprawa przeciwko podróży” (1989); „Całowanie klamek” (1990); „Siwe dziecko” (1990); „Münchhausen z Czarnkowa” (1992) – wznowiony w 2008 r.; „Nowe odmiany miłości” (1993); „Stichotworienija” (1993); „Sole kobiet przestrzennych” (1993); „Małgosia – poemat” (1993); „Zaszczuwanie galernika” (1996); „Budowniczości ruin” (1999); „Don Juan z Piły” (1999); „Z kałuży pod tratwą” (1999); „Mosty z ognia” (2004); „Meldunek ze zdobytego Miasta” (2005); „Wołanie z DNA” (2005); „Lustra Staszica” (2005); „Pocałunek - i - z językiem” (2006); „Zwierciadła – kto widzą w mężczyznach” (2008); „Obrus na fundamencie” (2008); „Dozorca tytułarny” (2008); „Ścisłe jawne” (2008); „Erotyki i żalniki” (2008).

Redagował i wydawał almanachy, a także książki innych poetów, m.in. Janusza Żernickiego, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Leszka Żulińskiego, Stanisława Neumerta, Jana Kaspiera, Jolanty Nowak-Węklarowej, Jerzego Utkina, Aleksandra Rozenfelda.

Mieszka i pracuje w Pile.



Słów kilka o wierszach Romana Habdasa

Beata Patrycja Klary

Odeszła moja wieczność i trwa we mnie.

[Félix Grande]

Trochę to niezręczne: recenzować tomik kolegi, a zarazem osiedlowego sąsiada. Przede wszystkim dlatego, że można narazić się na zarzut braku obiektywizmu. Na szczęście w tym wypadku jestem pewna, że prosta forma wierszy z najnowszego tomu Romana Habdasa przekona nawet tych, którzy poezji nie lubią i nie rozumieją, a sympatia, z jaką podchodzę do osoby autora, nic do rzeczy mieć nie powinna.

”Żucie szczawiu” – jakże bliski wszystkim tytuł. Któż bowiem nie pamięta czasów, gdy na łąkach podjadał liście szczawiu – żyjąc wówczas w błogiej nieświadomości, że szczaw zawiera szkodliwy dla zdrowia szczawian potasu – związek nieprzyswajalny przez organizm (a w związku z tym wszyscy cierpiący na kamienie nerkowe, reumatyzm czy artretyzm powinni go unikać). Za to dzieciaki, które interesowały się babcinymi metodami, wiedziały, że liściem szczawiu wywabia się plamy z rdzy, pleśni i atramentu. Piękne to czasy i z nostalgią wspomniane przez każdego. Nie dziwi więc radość, z jaką czyta się wiersze Habdasa. Osobiście miałam przyjemność brać udział w korekcie składu utworów do książki, za co autorowi przesyłam serdeczny uśmiech. *Habdasi*or – jak nazywają go bliscy z kręgów poetyckich, w swojej drugiej książce (tom pierwszy „W ramionach Drawy”, 1995 r.) **podparty gorzką czekoladą w przytulisku fotela zamyśleniem wraca na podwórkę kamienicy przy rynku**. Jako dojrzały człowiek wspomina dzieciństwo, swoją chłopcę – z wszelkimi jej urokami – pisaniem kredą po szopie sąsiadów, pochłanianiem oranżady w proszku, dmuchanego ryżu, andrutów, chleba z cukrem, gryłazowych cukierków czy dropsów. Jak również z wszelkimi niedogodnościami – zbyt długo trwającymi lekcjami czy spotkaniami z dyscypliną, która wpajała dekalog. Wszystkie wiersze z tomu tworzą całość, są o czymś. To wiersze minionej codzienności. Oczywiście poeta odsłania w nich swoją potoczność, brak zarówno wyrafinowanych rozwiązań metrycznych czy wielkich tematów poetyckich. Ale takie jest założenie tych wierszy. Habdas nie goni za młodymi poetami poszukującymi nowych środków wyrazu. Píše po swojemu, proponując odbiorcy coś praktycznego, coś w rodzaju sztuki patrzenia na minioną codzienność, aby uchwycić jej znaczenie i urodę. Przeszłość daje możliwość lepszego zrozumienia teraźniejszości i komunikacji ze współczesnością. **Dla jednych strony makulatury, dla innych tożsamość** – czytamy w wierszu „Zapisywanie chwil”. Jak najbardziej jest to przedstawienie swojej tożsamości człowieka, który potrafi nazwać jazie, kloniki, klenie, kapelony, liny, okonie, jak również dymówki i kraski. Człowieka, który pamięta pracę lutnika, kowala, rymarza. Dziś te zawody odchodzą w niepamięć. Przed laty dziecko przyglądało się tej ciężkiej pracy z zachwytem. Dzieciństwo bowiem to arkadia, a powrót do dziecięcej przeszłości to nadzwyczaj częsty motyw literacki. Adam Mickiewicz w epilogu do „Pana Tadeusza” napisał

słynne słowa: *Kraj lat dziecinnych! On zawsze zostanie święty i czysty jak pierwsze kochanie*. Chętnie wraca się do czasów, które już nie wrócą, przeminęły bezpowrotnie. Bruno Schulz wraca we wspomnieniach do dzieciństwa w małym żydowskim miasteczku („Sklepy cynamonowe”), a Marcel Proust do dzieciństwa „W poszukiwaniu straconego czasu”. Wszyscy wracamy. Odkrywamy siebie sprzed lat, tęsknimy za swoją wówczas tożsamością.



Bywało

*że wracając ze szkoły
nie tęsknił do gniazda
zakolami ścieżek
łazegował jak najdalej od rynku
podpatrywał nadrzeczne dymówki
albo przytulony do pożegowskich wzgórz
lepil gliniane skrzydła
wypalał znalezionego peta
wpatrzony w komin cegielni*

*znałem jego myśli
szybowały daleko*

Wiersze Romana Habdasa są ciekawe. Przypominają mi wiersze hiszpańskiego poety i prozaika Félix Grande, który równie wspaniale powracał do swojej powojennej młodości, do czasów, o których tak pisał:

*Nie przestałem pamiętać tamtego słońca,
beczącego stada,
walecznego kozła, z pokrąwioną w walce głową [...] już nie ma, jedynie na papierze,
który jest nagrobkiem za życia.*

Wiele się w dziedzinie poezji współczesnej dzieje. Wiersze Habdasa stanowią jedną z możliwych gałęzi realizacji w materiale, jakim są słowa.

Pozostaje mi tylko na zakończenie zacytować Jarosława Klejnockiego – uznanego badacza literatury, który z optymizmem patrzy na współczesne zjawiska w dziedzinie poezji:

Współczesna poezja polska przypomina trochę gęsty, mieszany las. Nie da się nawet w skrócie opisać wszystkich drzew, a zaiste każde z nich wydawać się może na swój sposób niepowtarzalne i godne uwagi wnikliwego obserwatora. Gdyby trzymać się dalej metafory lasu, to cechą charakterystyczną liryki współczesnej byłby jej żywiołowy i bujny rozkwit. Każdego roku obserwujemy co najmniej kilka interesujących debiutów, a uznani mistrzowie dostarczają nam intrygujących książek, z których żadna nie spada poniżej granicy artystycznej przyzwoitości, będącej bastionem strzegącym przed banałem, pretensjonalnością i myślowym prostactwem. Dynamika i energia poetyckich sporów, dyskusji i dialogów – odbywających się czy to na poziomie dyskursów publicznych, czy też na poziomie samej twórczości – pozwala z optymizmem myśleć o początkach XXI wieku. Liryka polska przygotowuje nam z pewnością niejedną miłą niespodziankę.

PRZY RYNKU

Kamienica pod szesnastym
ma trzy piętra
tajemniczość wieży
oplecionej dziką winoroślą
przy której grona dzieciaków
z powojennego wysypu
nie piją coli
nie jedzą chipsów
nie znają gumy do żucia

szpanem jest oranżada w proszku
dmuchany ryż
andruty

pomiędzy śmietnikiem a trzepakiem
szeregiem szopek i ustępów
bawiąc się w chowanego
szukam własnego zdania

czasami zostaję ciuciubabką
czasami wracam z guzem

jak to z podwórka

ŚMIERĆ KURY

Czasami wystarczy toporek pieniek
drżanie krwawiących piór
by na zawsze zapamiętać lekcję
z podwórka

obraz szopki i kurnika
wychodka
parującego gnojnika
bielma w oku kurzego łba
odrabianego z krzykiem gdakania
przed obliczem trzylatka
wystarczy

by zabrać w przyszłość
kroplę dzieciństwa

CZAS KOLACJI

Przed rozkrojeniem bochenka
mama czyniła znak krzyża
później spod noża spadały kruszyny
za nimi skibki jedna w jedną
również jak nasze żołądki

glazurowanie chłodem smalcu
słonecznością margaryny
masłem od święta

obkładane
czymkolwiek chata bogata była
urastały na talerzu w kształt wieży Babel

gdy z kubków parowała herbata ulung
jeszcze niepopłątane języki milczały

BEZSKRZYDŁY

Często po szkole nie wracał
do gniazda

ścieżką obok cegielni
zdobywał Pożegowską górę
i lepił z gliny
skrzydła

znałem jego myśli

szybowały daleko

ULICA SŁODKA

Cioci Danusi Strzelczyk

Wybrana przez dziadka Józefa
nasłuchiwała się wiele
od pierwszych słów po ostatnie kroki
wiodła w miasteczkowość
brała dzieciaki za ręce
hulała od furtki do furtki
kręciła kółka graniaste
a kiedy wypływał
znad Karolewa księżyc
ściągała ze sznurów bieliznę
usypiała Kazikowe gołębie

jak kromka chleba z cukrem
wpisana w pamięć
ulica Jasna

RYBY I KOTY

Wszystkie koty z Garbarskiej
łasiły się do Stefana i lały z nim
w podwórze kamienicy pod piątym

przy pieńku wyciągał z puszek po marmoladzie
rybę po rybie a były w niej takie jazie
i klonki że zapierało dech

łowił na snówkę z zasiadki
często na macanego idąc brzegiem
Kanału Mosińskiego
Pod Krosinko albo za kolejowy most

Stefan jak nikt miał do ryb żylkę
i katarynkę przy bambusie
do jej nawijania

Koty raczył łbami i litością

Słowa karmią zawiedzionych

Beata Patrycja Klary

Rzecz o narzekaniu

*Narzeka ojciec, narzeka matka,
dzieci, znajomi z innych układów.
Psioczy na los także sąsiadka,
że ma narzekających sąsiadów:[...]*

*Wszyscy dziś sobie ponarzekamy,
by nie wyjść z pielęgowanej wprawy [...]*

*A ty... narzekasz... biedaku miły?
Masz jakiś problem, czy jakieś przejęcia?
Ja...?, nie mam czasu ani też siły.
Tyle śmietników mam do obejścia*

[Anonim]

Pozwoliłam sobie zacytować fragment wierszyka znalezionej na internetowym forum, jako wprowadzenie w temat nowego tomu wierszy Andrzeja S. Bajdora „Słowa karmią zawiedzionych”. Zestaw prawie pięćdziesięciu wierszy tego autora tchnie jednym wielkim narzekaniem.



Oczywiście przelewanie na papier swoich frustracji, zawiedzionych nadziei, planów niezrealizowanych, gorzkich doświadczeń, bólów codzienności – nie jest niczym złym, ale musi być!, o jak najbardziej musi być!, przemyślane i podane w taki sposób czytelnikowi, by mogło być strawne. Wiersze Bajdora w większości nie są. Może jeszcze jeden, dwa podane jako przystawka – ująd, ale danie w całości – męczy spożywającego. Męczy, zasmuca i odpycha. Autor nie miał ani materiału, ani pomysłu na książkę (chyba, że pomysłem jest owe narzekanie). Niby coś w nich jest – jakaś próba pokazania siebie, odkrycia się przed czytelnikiem, ale to coś (mam dziwne przeświadczenie) miał oscylować wokół podmiotu lirycznego, dręczy siebie i mnie nieprzetworzoną twórczo dosłownością fizycznego bytu autora. Przy lekturze wiele razy poczułam się skrupowana tym faktem – często nawet zażenowana, że tyle i w taki sposób autor mówi o swojej żonie, rodzinie i innych intymnych prywatnościach.

Właściwie zastanawiam się, na ile wolno mi narzekać na ten zbiór wierszy? Ale jako uważna czytelniczka dokonań i prób literackich powstających w naszym środowisku – mam do tego czasami prawo.

Jeden z ciekawszych krytyków współczesnej poezji, Karol Maliszewski, wielokrotnie daje piszącym duży kredyt zaufania, ma cierpliwość i szuka ciepłych słów. Wyszukuje w zestawie marnych wierszy, chociaż jeden prześwit, zapowiedź czegoś większego, obraz, o którym będzie można powiedzieć „idź pan w tę stronę”. Nie jest to łatwa sztuka. No, ale chyba warto się postarać, ponieważ podobnie jak ja, Maliszewski wierzy w terapeutyczną moc poezji. I wie, jak trudno wydać wyrok: „grafomania”, „niech pan się zajmie czymś innym”.

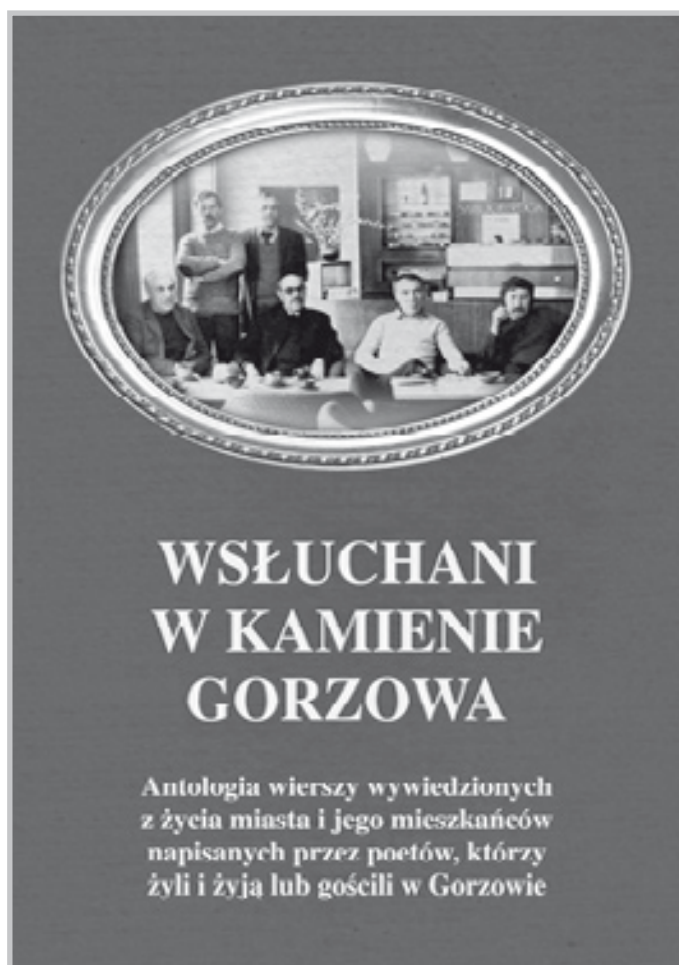
A więc i spod mojego pióra nie wyjdą te słowa – pozostawiam wiersze Bajdora życzliwej ocenie jego czytelników.

Karol Maliszewski w miesięczniku „Odra” o książkach Marka Lobo Wojciechowskiego i Karola Graczyka

W OFICYNIE

(...) Inny debiut, który przykuł moją uwagę, jest dziełem dojrzałego pióra i bogatej biografii. Autor, były wojskowy, obecnie emeryt, jak sam przyznaje, doświadczenie i warsztat poetycki zdobywał na portalach internetowych, gdzie publikuje do dzisiaj. Figuruje na nich od lat jako Lobo Szary. Naprawdę nazywa się Marek Wojciechowski, natomiast ja mam problem, co nazwać jego debiutem. Dwa tomiki ukazały się jednocześnie: Z WĘDRÓWEK PO OKOLICY (RSTK, Gorzów Wlkp. 2007) oraz SUPLEMENT (ZLP, Gorzów Wlkp. 2007). O pierwszym ciekawie pisze w posłowie Jakub Winiarski, wskazując na interesującą i intensywną w tej poezji grę między tym, co rzeczywiste, a tym, co wyobrażone, i między tym, co terazniejsze, a tym, co minione, na co dodatkowo nakłada się oryginalnie uruchamiana dialektyka mieszania się prywatnego z publicznym. Mnie bardziej zajęły wiersze z drugiego tomiku. Najlepsze utwory w tym zbiorze znajdują we mnie wdzięcznego słuchacza. Słucham ich z zapartym tchem. Słucham opowieści o życiu i znajduję w niej kawałki własnej historii. Tak jest wiarygodna. Jeśli ktoś jeszcze tęskni do poezji, która byłaby bardziej mądra niż sprawna, bardziej o poruszającym czymś niż jakoś tam zrobiona, to właśnie ją znalazł. Ale ta jest i dobrze zrobiona, i ma sporo do powiedzenia. I jak poważnie traktuje czytelnika, który otwarcie może tu czytać cudze życie jak własne. Obok fragmentów wzruszających i tęsknych nagle pojawiają się drapieżne, rubaszne, ironiczne. Perspektywa melancholii i nostalgii wygląda brzegi kadrów, na których w zapomnienie odchodzi Polska sielska i rustykalna, ustępując miejsca przestrzeniom anonimowym i nieludzkim, w których jedynym żywym i znaczącym punktem wydaje się impulsywność bohatera, jego niespokojna świadomość.

Jeżeli już jesteśmy w Gorzowie, to dwa słowa poświęćmy debiutowi Karola Graczyka, który swój tomik zatytułował OKO I OKO (ZLP, Gorzów Wlkp. 2007). Tu, żeby dostać się do wierszy, trzeba najpierw przejść przez warstwę obrazkową (niebanalne grafiki Andrzeja Tomaszewskiego) oraz dyskursywną, składającą się z trzech głosów krytycznych na temat poezji Graczyka. Są w zbiorze fragmenty świadczące o talencie, który w krótkim, zwięzłym tekście potrafi celnie zmetaforyzować samopoczucie i światopogląd, natomiast brakuje czegoś, co można by odbierać jako sygnaturę, swoistość stylistyczną, oryginalność odniesioną do rówieśniczego tła. Ewa Sonnenberg wyróżnia z tomu dwa wiersze, podkreślając, że autor zaskakuje zestawianiem słów, grą skojarzeń, ekwilibrystyką metafor. Arkadiusz Frania zaznacza, że jesteśmy świadkami wypracowywania swoistej mowy lęku, ekspresjonistycznego stylu, niespokojnej kreski, natomiast Lesław Nowara zauważa, iż Graczykowi bliższa jest śmierć niżli życie, ponieważ w tych wierszach dużo jest umierania, starości, kalectwa, chorób, a tożsamość bohatera tworzy się w oparciu o doświadczenia negatywne, traumatyczne. (...)



W serii Biblioteki Literackiej Pegaza Lubuskiego pod patronatem Gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich ukazała się książka pt. „Wsłuchani w kamień Gorzowa”. Jest to antologia 300 wierszy wywiedzionych z życia miasta i jego mieszkańców napisanych przez 67 poetów. Utwory zebrał i ułożył Ireneusz Krzysztof Szmidt.

Wiersze są ułożone tematycznie, w rozdziałach m. in.: „Moje miasto”, „Tutaj mieszkam”, „Miłość w pejzażu Gorzowa”, „O Warcie, nad Wartą”, „Poeci sobie, najbliższym i bliskim”, „Gorzów w satyrze, piosence, songach i balladzie”. Bogato ilustrowany tom dokumentuje związek z Gorzowem dużej grupy poetów.

6 VI 2008 – PROMOCJA I SPOTKANIE AUTORÓW W GORZOWSKIEJ KSIĄŻNICY!



NA KIERMASZU KSIĄŻEK GORZOWSKICH 7-8 CZERWCA PODCZAS DNI GORZOWA 2008



Chochlik komputerowy pozbawił na stronie 130 antologii Jerzego Gąsiorka autorstwa wiersza „W hospicjum”, Zdzisława Morawskiego ostatniego wersetu w wierszu „Przed Wami”: *I Was, że jesteście na mojej biesiadzie*, a na stronie 53 odwrócił mu rękopis wiersza „Zakole mięty”. Janina Jędrys natomiast utraciła „Cudowne Zjawisko” i musi zadowolić się jedynie notką biograficzną.

DODATEK DO ERRATY

Janina Jędrys

CUDOWNE ZJAWISKO

Ewie Rutkowskiej

Idę nowym mostem
na spotkanie z Ewą
Jest jesień
Zachodzące słońce
bije blaskiem miedzi
Zobaczyło mnie
biegnąc po Warcie
w moją stronę
Puszcza perskie oko
a Niebo z zazdrości
poczerwieniało

Jerzy Gąsiorek „Gąsior” W HOSPICJUM

Tak kochała życie
teraz przykuta do łóża
chwytła ostatnią kroplę tchnienia
w rozpalonej głowie
myśli rozedrgane
obawy i pytania zbędne
co będzie z kanarkiem
kto podleje paprotkę
kto ugotuje wnukom
kto zajmie jej miejsce w kościele
trzecia ławka z brzegu
i jeszcze . . .
kiedy już odejdzie
żeby nie zapomnieli
jej włożyć protezy do buzi
i ubrali w tą czarną sukienkę
zapinaną pod szyję

a czy sąsiadka z dołu
co ją unikała
zjawi się na pogrzebie
. . .
jak będzie tam
w niebie?

Ferdynand Głodzik NA HUBACH

Wyruszył Tato z Podkarpacia;
ktoś obiecywał różne cuda;
tam ziemi kawał, duża chata;
zamieszkaliśmy gdzieś na hubach.

Łan zboża drobny oraz rzadki,
perz się panoszy na zagonach;
piaszczysta ziemia i podatki;
lepiej bywało w naszych stronach.

Nasi sąsiedzi, to Witczaki;
chowamy krowy, owce, kozę,
a tato z pola zwiózł ziemniaki
w jednego konia sztywnym wozem.

Grudzień zaśnieżył, styczeń ostry;
przy kuchni Mama w fartuch płacze;
tam zostawiła braci, siostry,
a tutaj wszystko jest inaczej.

Gromadzi skrzętnie pierwsze piątki,
choć inne śpiewy tu w kościele;
Latem na polu są dziesiątki,
A u sąsiadów znów mendele.

Z tornistrem książek wpierw piechotą,
a potem pierwsze stopnie w szkole;
W klasie dokuczają czasem psotą;
dla nich jesteśmy zabugole.

Znowu opuszczam nasze strony;
ostatnia ciocia po pogrzebie;
jest Przemyśl – Szczecin opóźniony,
na rano muszę być u siebie.

Beata P. Klary W MOIM DOMU

Patrz!
Już zgasły ostatnie osiedlowe świece.
W prawie czerni niedokształt budzonego lęku.

Otulona ponocną koszulą: ładnieję,
a i w tobie łatwiej teraz zobaczyć Bogarta, trochę
smutno skubiącego zarost.

Mimo chłodu, pogaszone bloki wydychają
opary potu,
lekarstw, pleśni i tych słodkich perfum
ludzkiej namiętności.

Pozornie tylko cisza – w ucho mi poszumiasz,
miarowo przeganiasz codzienne maskary.
Mniej jest straszno, więc
otwieram paki, rozścielam spokojność
i całuję syna.

Piotr Gadzinowski urodził się w św. mieście Częstochowie w rodzinie piekarza, drobnego kapitalisty. Za chlebem wyjechał do Warszawy, tam zbolszewizował się i pozostał na emigracji zarobkowej. W życiu wykonywał wyjątkowo podłe zawody: posła, publicysty, pomocnika redaktora naczelnego i pomocnika piekarza. W Sejmie RP, zwanym obecnie „sanktuarium demokracji”, przechował się przez 3 kadencje. Bywał na posiedzeniach Komisji Kultury, Równego Statusu Kobiet i Mężczyzn, Łączności z Polakami za Granicą W Sejmie RP, Zgromadzeniu Parlamentarnym Rady Europy i Parlamencie Europejskim. Współtworzył ustawę o kinematografii. Odznaczono go Medalem Zasłużony Kulturze „Gloria Artis”. Autorzył i współautorzył sześciu książkom publicystycznym i satyrycznym. Znający go dobrze uważają, że lepiej mówi, niż wygląda i lepiej pisze, niż mówi.



PRACUJĘ GŁOWĄ

Graczyk ciągnie za język Gadzinowskiego

Karol Graczyk: Kim czuje się Pan bardziej - politykiem czy publicystą?

Piotr Gadzinowski: Artystą. Bywam także publicystą politycznym, byłem politykiem parlamentarnym, czyli publicystycznym, rozdyktowanym.

KG: Co jest w polityce ważniejsze - władza czy pieniądze?

PG: Władza rzecz jasna, bo ona posiadana dłużej sprawia, że pieniądze przychodzą.

KG: Za co dostał Pan order „Gloria Artis”?

PG: Za współtworzenie i przepchnięcie przez parlament ustawy o kinematografii. Zapewniła ona coroczne, stabilne finanse dla polskiego kina. Od tamtej pory nie dyskutujemy już, skąd brać pieniądze na polskie filmy, tylko dlaczego są takie słabe. Ustawo-wo jakości zagwarantować się nie da. Poza tym mam swój wkład w nowelizację prawa autorskiego, chroniącego twórców.

KG: Jest jakiś duchowny, którego Pan szanuje?

PG: Oczywiście. Księdza Osieckiego pracującego z mniejszością wietnamską w Polsce, księdza Niwińskiego z tureckiego Trepezunu. Zwykle cenieni przez mnie duchowni katolicy to obecni lub byli misjonarze. Tacy mają często otwarte umysły. W przeciwieństwie do krajowych hierarchów.

KG: Jakie jest miejsce kościoła w polityce?

PG: Jeśli kościół, katolicki na przykład, chce politykować, powinien robić to otwarcie. Nie obłudnie jak teraz, pod pozorem misji religijnej. Nie może współzrządzić i nie ponosić z tego powodu żadnej odpowiedzialności.

KG: Jakie jest miejsce polityki w kościele?

PG: Księża jak wszyscy mają prawo do politykowania. Ale otwarcie, bez obłudy i z ponoszeniem wszystkich konsekwencji związanych z uprawianiem polityki.



Rys. J. Lauda



KG: Ostatnio z wiadomych względów coraz więcej mówi się o Chinach, ale ciągle tylko w kontekstach, tymczasem Chiny mają już amerykańską gospodarkę w rękę, bardzo szybko się rozwijają i mają najwięcej ludności. Myśli Pan, że Chiny poradzą sobie jako najsilniejsze mocarstwo na świecie?

PG: Chiny już były, do początku XIX wieku, pierwszorzędnym mocarstwem. Teraz wracają do tamtej roli. Nie zagrażają światu militarnie. Nie roszczą aspiracji do powiększenia swego terytorium. Rywalizują na polu ekonomicznym. Są największą fabryką świata i stają się największym śmietnikiem. Tak szybko rozwijające się Chiny mogą spowodować katastrofę ekologiczną. Chiny to temat na wywiad- rzekę.

KG: Dlaczego jest Pan przeciwnikiem niepodległości Kosowa?

PG: Jestem zwolennikiem niepodległego Kosowa, ale nie w takiej formie. Secesji od Serbii. Kosowo, podobnie jak całe Bałkany, powinno być jak najszybciej w Unii Europejskiej. Tylko akcesja pozwoli rozwiązać problem niepodległości Kosowa. To, co teraz nazywa się „niepodległym Kosowem”, jest w rzeczywistości protektorem UE i ONZ, sankcjonowaniem rządów albańskich klanów i mafii. Byłem w Kosowie, byłem w Serbii wiele razy. Obecne rozwiązanie jest najprostsze i najgorsze z możliwych.

KG: Dokąd zmierza telewizja publiczna?

PG: Do samozagłady. Obecnie władze telewizji publicznej robią wszystko, by dostarczyć argumentów zwolennikom prywatyzacji mediów publicznych. Jestem zwolennikiem likwidacji obecniego ministerstwa kultury i dziedzictwa, a w zamian utworzenia z telewizji publicznej i radia – instytucji upowszechniania kultury polskiej. Obecnie dla większości obywateli RP media publiczne są jedynym źródłem wiedzy o kulturze, obcowania z nią.

KG: Gdyby wszystko zależało od Pana, co by Pan zmienił najpierw?

PG: Zlikwidowałbym proces starzenia się.

KG: Czym się Pan zajmuje obecnie?

PG: Pracuję głową, jak mawiał prezydent Wałęsa. Piszę, m.in. scenariusz serialu „Sejm jak miłość”.

Wojciech Kuczok

Magda Turska

Jakiś czas temu brałam udział w dyskusji rozróżniającej literaturę na tę, o której można porozmawiać przy obiedzie, i tę, która wnika głębiej, pozostawia ślad albo po prostu zmusza do analizy. Broniałam drugiej i głęboko wierzę, że istota sztuki leży we wstrząsie, który jest w stanie wywołać u odbiorcy (nic odkrywczego – raczej rozumowanie zgodne z teorią literatury). Czy pamięta się książki powielające schematy? Czy szczęśliwe zakończenia, idylliczne obrazy rzeczywistości trące myszką, interesują współczesnego czytelnika, który nie szuka w literaturze remake'u amerykańskiego serialu, lecz właśnie sztuki w czystej formie?

Spotkanie z Wojciechem Kuczokiem, który 19 maja był gościem Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gorzowie Wlkp., ugruntowało moje zdanie. Autor „Gnoju” narzucił rygor spotkaniu, poświęcając 90% czasu na czytanie fragmentów swych najnowszych powieści, a pozostałą część na ewentualne pytania. Rozpoczął od lektury rozdziału „Senności” – powieści, którą ukończył 30 kwietnia – tydzień po adaptacji filmowej Magdaleny Piekorz. Film zostanie przedstawiony na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, a powieść wejdzie na rynek książki tuż przed premierą filmową. To swoisty eksperyment literacki, stwierdził Wojciech Kuczok, gdyż „Senność” została napisana ze scenariusza. Właściwie tekst na potrzeby filmu jest szkicem tekstu literackiego, wiernie podążającym za gramatyką filmu, gdzie scena filmowa odpowiada scenie literackiej. Jak widać, przenikają się dwa teksty kultury – obrazowanie przygotowane na wielki ekran i świat przedstawiony dzieła literackiego.

Następnie laureat Nagrody Literackiej „Nike” odczytał fragment powieści tatrzańskiej, którą ma zamiar ukończyć w sierpniu. Ten tekst jest próbą wpisania się w konwencję realizmu magicznego, stworzenia polskiego odpowiednika historii o Macondo ze „Stu lat samotności” Marqueza. Już jednak pierwsze zdania szybko uświadomiły zebranym, że nie będzie to dzieło epigońskie, lecz nowatorskie, napisane przez wnikliwego obserwatora kultury góralskiej, twórcy ze świetnym „uchem językowym”, który konsekwentnie groteskowo obrazuje rzeczywistość.

Przytoczone przez Wojciecha Kuczoka fragmenty utworów charakteryzują dwie różne poetyki, są dwoma różnymi idiomami prozy.

Autor „Gnoju”, zapytany o inspiracje literackie, odpowiedział, że nie jest w stanie jednoznacznie określić, kto najbardziej wpłynął na jego twórczość. Przyznał jednak, że ceni Gombrowicza, prozę Białoszewskiego i Witkiewicza. Wojciech Kuczok uśmiechnął się, słysząc anegdotę o regale w jednej z księgarni amerykańskich, gdzie na półce z literaturą polskojęzyczną „Gnój” sąsiadował z „Panem Tadeuszem”, a porównanie jednego z bohaterów „Senności” z Panem Cogito przyjął z dużym zaskoczeniem, oświadczając, że moralność Pana Męża znacznie odbiega od postawy etycznej podmiotu lirycznego z tomiku Herberta.

Dzień później autor „Szkieleciarek” odwiedził Gminną Bibliotekę Publiczną w Kłodawie. Podobnie jak w Gorzowie, przytoczył fragment „Senności”. Padły pytania o wątki najnowszej powieści, skojarzone z „Moim własnym Idaho”. Wojciech Kuczok przyznał, że w jego dziele wątek narkolepsji oraz wątek homoseksualny nie są inspirowane kultowym dziełem Gusa Van Santa. Zapytany o powód, dlaczego zarzucił mowę wiążaną, odpowiedział, że struktury poetyckie przenosi na prozę. Na potwierdzenie przytoczył fragment, w którym wszystko „śpiewało” – sylabotonicznie. Mówił, jak wiele czasu poświęca na dobór słów, co dla odbiorcy zaznajomionego z twórczością autora „Powieści samo-



witych” jest potwierdzeniem kunsztu warsztatowego Kuczoka. Z wielką pokorą opowiadał o Krzysztofie Zanussim, fascynacji tematyką podejmowaną przez reżysera, z którego „Spirali” gość biblioteki pisał pracę magisterską. Zdradził również, jak wielką satysfakcję przynosi mu współpraca z Magdaleną Piekorz, która swoją cierpliwością wspomagała go w procesie twórczym nad „Sennością”.

Pisarz odpowiadał na pytania chętnie, z ogromną szczerością. Nie ukrywał, jak ważny jest dla niego pierwszy odbiorca, ktoś zaufany, komu przedstawia swoje teksty. Można pokusić się o przypuszczenie, że poniekąd uczestnicy spotkań autorskich, na których Wojciech Kuczok przytacza fragmenty nowych powieści, są tego rodzaju odbiorcami.

Zetknięcie nadawcy z odbiorcą, którego reakcję autor może śledzić na żywo, to nie tylko forma promocji, lecz przede wszystkim przeżycie sacrum, jakie niesie ze sobą sztuka.

Tego samego dnia pisarz gościł w Bibliotece Publicznej im. ks. prof. J. Tischnera w Drezdenku. Wieczór autorski poprowadził ksiądz Jerzy Hajduga, poeta – duchowny. Wojciech Kuczok przytaczał kolejne fragmenty nowych powieści, odpowiadał na pytania. Niestety, nie mogłam uczestniczyć w spotkaniu, więc trudno o relację. Jestem pewna, że również i drezdenecka uczta kulturalna pozostanie w pamięci uczestników.

Dobrze się dzieje, iż możemy być świadkami tego rodzaju wydarzeń. Z jednej strony zalew wydawnictw i literatury, którą trudno nawet przekartkować, a z drugiej możliwość obcowania z autorami, których utwory nie zalegają na bibliotecznych półkach, choć ich dorobek jest alternatywną formą wyrazu, niezadko trudną formalnie i treściowo. Jak rozmawiać o „Gnoju” pomiędzy kęsem schabowego i ziemniaka? I w jakim celu? Są dzieła i twórcy, którzy sami się obronią, choć niektórzy wkładają ich na półkę z napisem: „przebite” albo „dziwne – tego nie da się czytać”.

Podczas podpisywania książek w Kłodawie Wojciech Kuczok wyraźnie ucieszył się, widząc „Wszystkie dni lata”. Tom opowiadań dziewięciorga znanych współczesnych pisarzy otwiera utwór pt. „Kłapki (z zielonymi motylkami)” autorstwa Kuczoka, który dedykując opowiadanie naszym czytelnikom, dopisał: *(to moje ulubione moje)*. Za zgodą autora przytaczam krótki fragment:

Mewy są najbrzydlivszymi z ptaków, całkowicie uzależnione od ludzkiej beżmyślności, stały się gatunkiem synantropijnym, a to oznacza wieczne wygrzebywanie ludzkich odpadów; na mojej plaży nie było mew, bo ludzie tu nie docierali, za daleko, za dużo niezaludnionego piasku, ludzie są zbyt lękliwi, by się cieszyć nieprzetartymi ścieżkami, chcą dzikich plaż ogrodzonych płotem i oznaczonych tabliczką z napisem „dzika plaża”, byłem bezpieczny w mojej samotności choćby dlatego, że plażowicze nie są zdolni samodzielnie rozpoznać dzikiej plaży, dzikość dla nich zaczyna się tam, gdzie przez dziesięć minut nie ma kogo zapytać o drogę, gdzie przez kilometr nie znaczy drogi żaden niedopalek tudzież puszka po piwie, w której można by odnaleźć ulgę rozpoznania (i niby żartobliwie, niby z pogardą, a tak naprawdę z miłością do bliźnich powiedzieć: „nasi tu byli”), dzikość może ich dopaść na przystanku, na którym nikt nie czeka na autobus, mimo że wedle rozkładu lada moment powinien przyjechać.

[Wojciech Kuczok]

Karolina Grządziel

KOBIETA NA TLE ZIELONEJ ŚCIANY

twoja twarz nic mi nie mówi
jesteś niezidentyfikowaną figurą
zamkniętą w obręczy łóżka
z której korzysta nawet światło

prześcieradło piersi i udo
reszta jako tło dla lakieru na paznokciu

krzyżujesz kolana wiedząc
że to zaostreza apetyt
psy pawłowa przychodzą punktualnie
o dziewiątej naciągasz materac

chyba nawet nie wiesz że patrzę
a może to tylko rodzaj perwersji

SEKS W AUTOBUSACH PODMIEJSKICH

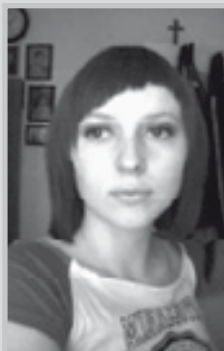
zaparowałaś wszystkie szyby
a teraz delikatnie spławiasz oddechy
w zatłoczonym przejeździe

pachniało tanim winem i papierosami
dojazdami do pierwszego
każdego kolejnego miesiąca

a ty rozkołysana miałaś w sobie płynność
wahadła lewe i prawe biodro
opierały się o moje spojrzenia

wciśnięta między gazety
kaszel i opowiadania o jaskrze
wyglądałaś przez siebie na ulice

a one tak jak ty płynęły
przede mną
szeroko rozkładając nawierzchnię



Karolina Grządziel, ur. w 1983 roku w Miechowie pod Krakowem. Studiuje na Wydziale Lekarskim Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Dotychczas publikowała jedynie w Internecie (Poema, Plezantropia, PKPzin, Jest-Lirycznie, Poezja-Polska). Poza literaturą jej pasją jest muzyka, film i malarstwo.

Jan Baron

CUDZE HISTORIE

Zagaduje mnie kobieta sprzedająca obwarzanki:
wnuk-elektryk pracował za granicą, powódź,
źle izolowane przewody,

fale prądu przepływające
przez ciało. Odplacam kradzioną monetą,
historią znajomej zgwałconej

i zamordowanej w Anglii.

Po niebie przemykają ciemne chmury ptaków
wydających przeraźliwe krzyki,

jakby powietrze
było pętlą dławiącą ich gardła.

STAW

Wysoki, w pomarańczowych spodenkach,
tuż pod tabliczką
„kąpiel surowo wzbroniona”. Ale on się gotował
na wolnym ogniu dnia, pod spojrzeniami dziewcząt,
by skoczyć. We wszystkim musiał być pierwszy.
Wypił pół litra duszkiem,

potem nieśli go w trzech.
Już wtedy ciężki, a co dopiero teraz.

Oko stawu od dawna jest suche.
Do środka wpada kamień
jak lza.

* * *

Nad ranem przez park przechodzi zimny ogrodnik,
ptaki kładzie jak kwiaty.

Chłopiec wybiega z bloku
prosto pod samochód.
Staruszka wnosi po schodach cerkwi wiadro wody;
w palce wrzyna się metalowy pałak,
grubiej żyła na skroni.

Młody Rumun przypala niedopałkiem
policzek śpiącej żebraczki.

Widzę to, czego nie widać
po mnie.

Jan Baron, ur. 1985 w Rudzie Śląskiej. Student czwartego roku edytorstwa na Uniwersytecie Jagiellońskim. Dotychczas publikował w „Śląsku” oraz w internetowym dwutygodniku „artPapier”.

Ludzie mówią, że Irlandia jest piękna

Tamara to młoda Irlandka, z zawodu marketingowiec. Dumna mama Toma i Connora. Rozczarowana Richardem, z którym żyła od siedmiu lat. Ale nie miała wyboru. Gdy go poznała, ryzykowała, że straci oparcie w rodzinie i przyjaciółach, bo zakochała się w nieodpowiednim facecie. Ale wtedy to nie miało dla niej znaczenia.

Ona po studiach na Uniwersytecie w Limericku, z dobrej, purytańskiej rodziny. I on bez szkoły, ale z zamiłowaniem do piwa, bijatyk w barze, szybkich samochodów, przygodnie poznanych kobiet i bilarda. Los połączył ich zupełnie bez zastanowienia, z zaskoczenia. Wystarczyła przypadkowa wizyta w barze, do którego zaprowadziły ją koleżanki. On rozgrywał wtedy kolejną partyjkę snookera. Dziwnym trafem ich spojrzenia spotkały się w tym samym momencie i już. Oboje przepadli...

Potem szybko urodził się Tom, a dwa lata później Connor.

Na początku tworzyli wspólne życie w malutkim mieszkanku. Myśleli, że sami dadzą sobie radę. Ale... Chłopcy od dzieciństwa byli bardzo marudni, często płakali po nocach. Richard dzieci by nie skrzywdził. Za to często wyładowywał się na niej. Krzyczał, rzucał obelgami na cały świat i wychodził, trzaskając drzwiami. Bo ważniejszy był mecz snookera, kumple, dawne koleżanki, z którymi warto było wspominać stare dobre czasy.

Zostawiał ją bez pomocy i często bez pieniędzy. Z chłopcami, którym akurat boleśnie wyrzynały się ząbki. A ona wciąż kochała Richarda. Jej uczucie było jak z brazylijskiej telenoweli. Do przesady naiwne, bezkresne i bolesne. Pełne dobrych rad rodziny i przyjaciół, którzy właśnie tak chcieli jej pomóc. I jej porywów serca, namiętnych i beznadziejnych jednocześnie. I jej dynamicznych i upadłych, niestety, prób wyzwolenia się z tego życia. Zawsze wracała do pozycji podporządkowanej Małgorzatki z „Fausta”. Bo Richard to przecież mistrz, wielki alchemik życia i innych bardziej przyjemnych używek.

Dlaczego łatwo się poddawała? Przecież tak bardzo chciała być jak Małgorzata z powieści Bułhakowa. Ta silna, aktywna, ambitna i inteligentna kobieta, doskonała w każdym calu, w każdym milimetrze swojego ciała i umysłu - była jej wzorem.

Jednak droga ku ideałowi była dla Tamary za trudna, jak droga krzyżowa dla Jezusa. Jej krzyża też nikt nie chciał dźwigać.

A ten ciężar potrafił być ogromny. Bo Richard nigdy nie dawał za wygraną. Krzykiem i biciem usiłował rozwiązać każdy swój problem...

Planowali budowę domu, dlatego łaskawie zgodził się, by Tamara poszła do pracy. Jednak jej świetne zarobki dotkliwie raniły jego wybujałe ambicje. Bo czy ochroniarz może się równać z asystentką w dużej agencji reklamowej?

Gdy chłopcy zaczęli naukę w szkole podstawowej, dom był gotowy. Przestronny, na pięknej zielonej działce z pewnością budził zachwyt. Stworzony z myślą o szczęśliwej, kochającej się rodzinie, tylko czy mieszkańcy byli właściwi?

Przez pewien czas w tym domu, w tej rodzinie, panowała radość. Wydawała się taka prawdziwa. Jednak nie trwała długo. I właściwie nie wiadomo, dlaczego tak szybko im czmychnęła. Poszło pewnie o drobnostkę. Może nieumyte naczynia albo niewyprasowane koszule, albo o to, że Tom i Connor się pobili lub wylali sok na ulubiony fotel Richarda. I co z tego?

Tamara powoli nie wytrzymała. Zaczęła uciekać wieczorem z domu. Chłopcy już wtedy spali. Zawsze naiwnie wierzyła, że nie słyszą, jak ich ojciec krzyczy: Jesteś w ciąży z innym! Jak mogłaś! Jak śmiałaś! I dalej sypały się inwektywy, różnego rodzaju i treści.

Myliła się. Może nie potrafili zrozumieć, co się dzieje z mamą i tatą, ale ich też to dotykało. Rano budzili się wystraszeni. Nie

wiedzieli czy dramat, który rozgrywał się najczęściej w salonie albo kuchni, i w którym nieświadomie uczestniczyli, był snem czy jawą.

A tak bardzo chcieli mieć kochających rodziców i szczęśliwe dzieciństwo...

Tamarę zawsze bardziej bolały jego okrutne słowa niż widok potłuczonych w złości talerzy czy zniszczonych drzwi; obrzmiałej od razów twarzy w lustrze. Siniaki zawsze można zamaskować. A słowa odradzają się boleśnie... w sekundzie, minucie, godzinie, za dnia i w nocy. Kłują jak ostre szpilki, szczypią jak ukłucie igłą, gdy się nie trafi odpowiednio w żyłę. Są jak rój os, brzęczą i atakują niepostrzeżenie.

W zagajniku nieopodal domu znajdowała chwilowe schronienie. Mogła ochłonać, zebrać myśli i wrócić na kolejną rundę. Richard nigdy za nią nie wybiegał. Wiedział, że Tamara zawsze wróci do domu, jak złęczniona mysz do swej nory.

Zbliżały się wakacje. Jakimś cudem Richard zgodził się na ich tygodniowy wyjazd. - W końcu będzie spokój i wolna chata - myślał prymitywnie o sobie.

Gdy Tamara i dzieci wyjechali do Ballybunion, został sam. Sądził, że bycie słońmianym wdowcem jest fantastyczne - nic tylko koledzy, imprezy i nowe znajome.

Jednak, dziwnym trafem okazało się, że nikt nie ma ochoty i czasu na spotkania z Richardem. Stał się nie do wytrzymania nawet dla kumpli. Poczucił się wtedy jak mały chłopiec, którego koledzy wyrzucili z boiska, bo nie potrafił dobrze grać w piłkę. On nie potrafił dobrze żyć. Chodził po pustym domu. Zaglądał do pokoi, teraz takich martwych, chłodnych, pustych - jak on. Pierwszy raz w życiu pozbiierał porozrzucone zabawki chłopców. Pod klockami, książkami i żołnierskimi samochodzikami, które dał kiedyś Tomowi i Connorowi na urodziny, leżało zdjęcie. Tamara, on i chłopcy. Uśmiechnięta, szczęśliwa rodzinka...

Wtedy uświadomił sobie, że jego życie było zbyt sztuczne, by poznać w nim smak szczęścia. Że on po prostu nie umiał dać go sobie i innym. Właściwie nie wiadomo, dlaczego tak się działo. Przecież był niby normalnym facetem.

Chciał jej powiedzieć, że to ona ma rację. Rzeczywiście do siebie nie pasują. Zamiast jednoczyć się, wciąż walczą ze sobą. Do końca, do ostatniej kropli krwi.

Są jak ogień i woda, dzień i noc, niebo i piekło... Zbyt różni, by każdego ranka obdarzać się szczerym uśmiechem, delektować się zapachem aromatycznej kawy i śpiewem ptaków. Zbyt różni, by wspólnie łątać dziurawy dach w garażu, wycierać dzieciom nosy, pomagać im w matematyce i gotować spaghetti na romantyczną kolację. Nie zdążył powiedzieć Tamarze, że daje jej wolność.

Może za bardzo się śpieszył, by uszczęśliwić ją tymi słowami? Jego auto zderzyło się z innym na stromym zakręcie w drodze do Ballybunion. Był wtedy piękny słoneczny dzień. Tamara opalała się, a chłopcy grali w piłkę. Kobieta cieszyła się każdą chwilą wolną od zaborczej miłości Richarda. Gdy zadzwoniła do niej policja, okazało się, że jest już wolna na zawsze.

Po kilku miesiącach wyjechała do Londynu, by tam zacząć nowe życie. Szybko znalazła pracę w agencji reklamowej, zdobyła uznanie szefów i sympatię współpracowników. Chłopcy też zaaklimatyzowali się w nowej szkole. Częściej się uśmiechali i nie budzili się już ze strachem... A o ojcu nigdy już nie wspominali.

Została im w pamięci tylko Irlandia. Majestatyczna, dynamiczna, żywa, wiecznie zielona, jak swobodne myśli zakochanej kobiety.



Eduard Boas – Jeden z trzech

Dr Martin A. Völker z Uniwersytetu im. Humboldta w Berlinie przygotował rozprawę doktorską na temat filozofów z końca XVIII wieku. W pracy habilitacyjnej zamierza przeanalizować, jak ich poglądy przenikały do świadomości społecznej. Najlepiej analizę recepcji przeprowadza się na tekstach autorów nie z pierwszej półki, a tych mniej znanych, ale cenionych w swoim czasie. Szukając takich, trafił na trzech autorów żyjących w I poł. XIX wieku w Landsbergu: ojca – Josepha Emila Nürnbergera, jego syna – Woldemara oraz Eduarda Boasa. Łączyło ich miejsce zamieszkania, ten sam krąg towarzyski i intelektualny, a zdecydowanie różniły poglądy i dokonania literackie. I dlatego im właśnie dr Martin A. Völker poświęcił swoją rozprawę habilitacyjną.

27 maja 2008 r. do Gorzowa przyjechał na zaproszenie Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, by spotkać się z zainteresowanymi w ramach seminarium z cyklu „Nowa Marchia prowincja zapomniana”. Bohaterem pierwszego spotkania był Eduard Boas, o Nürnbergerach ma mówić podczas następnych seminariów.

Eduard Boas urodził się 18 stycznia 1815 r. w Landsbergu w kupieckiej rodzinie żydowskiej zasłużonej dla miasta. Był najmłodszym synem, pewnie więc dlatego zaakceptowano jego dążenie do nauki: skończył landsberską szkołę, potem studiował prawo, a na uniwersytecie w Lejdzie (obecnie Holandia) uzyskał tytuł doktora praw. W latach młodości dużo podróżował, a wrażenia z podróży spisywał i publikował. Ciekawe i oryginalne są te relacje, bo autora interesowało wszystko i umiał barwnie opisać wrażenia. Najważniejsza jednak dla dr Völkeera była jego postawa intelektualna: Boas opowiadał się za wolnością i prawem obywatela do stanowienia o sobie. Po czasach zastoju, po dominującej w społeczeństwie postawie zachowawczej, Boas wyraża typowo romantyczne dążenia do swobody i samodzielności. Problemami polskimi się nie zajmował, ale z entuzjazmem pisał o kosynierach, którzy swoje narzędzia pracy zamienili w narzędzia walki o wolność. Pierwsze lata 30. XIX wieku to czas żywiołowej akceptacji dla polskich emigrantów podążających przez Niemcy po upadku powstania listopadowego. Boas wielokrotnie odnosił się do nich z pełnym zrozumieniem.

W trakcie młodzieńczych podróży kilkakrotnie odwiedził Weimar, gdzie się ożenił i gdzie zamierzał osiąść. Co równie ważne – poznał tam i pozyskał życzliwość sędziwego już Johanna Wolfganga Goe-

thego. Znajomość ta zdecydowała o losach Eduarda Boasa, bo stał się znawcą i krytykiem dorobku Goethego i Schillera oraz wydawcą ich dzieł.

Nie osiadł jednak w Weimarze, a wrócił do rodzinnego miasta położonego na peryferiach Nowej Marchii, w krainie, która dotąd nie zasłynęła w literaturze.

Do senniejszej atmosfery niewielkiego miasta wnosił oddech świata: sprowadzał intelektualne wydawnictwa, nowości literackie, inicjował kulturalne przedsięwzięcia, np. budowę pomnika zasłużonego filozofa Friedericha Schleiermachera. Miejsce w historii niemieckiej literatury dały mu rozprawy i analizy twórczości Goethego i Schillera. W uznaniu zasług dla propagowania ich dorobku sekretarz Goethego powierzył właśnie Eduardowi Boasowi do opracowania i druku zbiorów tzw. xeni, czyli wierszowanych pamfletów, jakie wymieniali między sobą Goethe i Schiller, a które zawierały także rozliczne plotki i złośliwości. Książka ta cieszyła się dużym zainteresowaniem.

Zajmował się również rodzinnym Landsbergiem. Znany jest jego wiersz pt. „Musterplatz”, jaki napisał w wieku 16 lat. Jest to zabawna rymowanka o ludowej zabawie na dzisiejszym placu Grunwaldzkim. W 1839 r. wydał pierwszą historię miasta (Landsbergs Vorzeit), opracował historię landsberskiego bractwa kurkowego, wiadomo, że pisał sztuki wystawiane przez amatorski zespół w Landsbergu, ale znany jest tytuł tylko jednej. Był także autorem nowel i wierszy.

W 1853 r. w wieku 38 lat zmarł na raka przewodu pokarmowego. Pochowany został w rodzinnym grobowcu na cmentarzu żydowskim.

Dr Martin A. Völker podkreślał jego otwartość wyrażającą się w młodzieńczych utworach akceptacją radykalnych zmian społecznych, a w późniejszych latach intelektualną wnikliwością w analizach literackich. Ciekawe więc było zderzenie otwartego umysłu Eduarda Boasa z racjonalizmem Josepha Emila Nürnbergera, wyraziciela tradycji oświeceniowych oraz z rozchwianiem i chmurnym, poetyckim temperamentem Woldemara Nürnbergera. Dr Martin A. Völker uznał, że jest to zjawisko godne analizy w rozprawie habilitacyjnej.

Krystyna Kamińska

Musterplatz*

**Zima wreszcie nas opuszcza
Wolna więc od wszelkich prac
Zewsząd ciągnie miejska tłuszcza
Na plac ćwiczeń – Musterplatz**

**Cały tydzień, kto się trudzi
W swoim domu ciągle tkwi
W ciemnej norze dziś się budzi,
Rusza tam, gdzie słońce łśni**

**Na uliczną więc przechadzkę
Będzie młodzian skarb swój wiódł
Krawiec zaś wyznaczył schadzkę-
Czeka u gołąbki wrót**

**A pod bramą coraz rojniej
Rośnie ścisk i rośnie gwar
Jest wesoło, jest upojnie
Taki to niedzieli czar.**

**Gdy cię ludzka toń uniesie
Bieg ten krótko będzie trwał
Pierwej jednak musisz wlecieć
W tłum huczący niby szkwał
A nie ujdzie mu na sucho
Gdy w tę ciżbę wejdzie zuch
Ciosy w żebra, w oko, ucho
Czasem też i łokciem w brzuch**

**Lecz gdy się przecięśnie śmiać
Nie na darmo jego trud
Widok będzie miał wspaniały
Na te najpiękniejsze z grup:**

**‘Bal champetre’ już zaczynają
Na zielonej trawce młodzi
Tam w Piotrusia inni grają
Szkice węglem inny płodzi**

**Niechaj ma parady Berlin,
Walki bestii szach w pałacu
Z dumą my musimy stwierdzić:
Nie ma jak na Musterplatzu.**

Przekład: Dariusz Barański

* Musterplatz – Plac Musztry, miejsce festynów ludowych i parad wojskowych w Landsbergu. Obecnie – Plac Grunwaldzki. Wiersz napisany w 1831 r. przez 16-letniego autora.

Łyk literatury serbskiej

Janko Vujinović, serbski pisarz od 2000 r. pracujący na Uniwersytecie Łódzkim, po raz pierwszy przyjechał do Gorzowa pięć lat temu. Zaprosiła go Barbara Schroeder do klubu „Na Zapiecku”. Mówił o książce, nad którą wtedy pracował. Zainteresował tak bardzo, że z wydaną już książką ponownie został zaproszony do klubu. Razem z nim przyjechała tłumaczka Teresa Sikorska, także Zbigniew W. Nowak - redaktor naczelny i Krystyna Stolecka - zastępca redaktora naczelnego „Tygla Kultury” – wydawcy książki „Panika w Inter City”. Spotkanie było więc okazją do porozmawiania o samej książce, o języku i literaturze serbskiej, o studiach nad słowiańszczyzną, a także o wychodzącym w Łodzi kwartalniku „Tygiel Kultury”.

Janko Vujinović jest prozaikiem i poetą, autorem dramatów radiowych i telewizyjnych oraz scenariuszy. Wydał kilka tomów wierszy, opowiadania i powieści po serbsku, natomiast w przekładzie na język polski ukazała się jego proza pt. „Panika w Inter City” oraz zbiór wierszy „Śpiewanie w/o samotności”. Przejmujące wydarzenia z tego tomu traktujące o wojnie, najważniejszym wydarzeniu, jakie w ostatnich latach dotknęło Serbię, czytała tłumaczka Teresa Sikorska.

Tematem głównym spotkania była „Panika...”. Książka jest skonstruowana według modelu tworzenia świata: składa się z siedmiu części, które łączy postać głównego bohatera w różnych etapach jego życia oraz atmosfera, jaka mu towarzyszy zawsze i wszędzie: samotność, cierpienie, rezygnacja, zagubienie w obcym świecie, w chaosie nowoczesności. Proces tworzenia kończy rozdział siódmy – wielki erudycyjny komentarz będący swoistym ukoronowaniem z jednej strony procesu tworzenia wyimaginowanego świata, a z drugiej wykładnią filozofii autora. Poszczególne rozdziały można czytać oddzielnie, jako zamknięte całości, ale czytane razem dają wspólną wartość. Główny bohater – szary wilk stepowy – porusza się zarówno po Bałkanach jako swoim obszarze kulturowym, jak i w środkowej Europie od Dunaju po Ren. Na Bałkanach zderzenie kulturowe rodzą coraz to nowe zagrożenia. Sytuacje, zdarzenia, ludzie, z którymi spotka się bohater, wyrastają z kultury przede wszystkim serbskiej, a szerzej słowiańskiej. Okazję do uświadomienia sobie odmienności w widzeniu świata między naszą (także przecież słowiańską kulturą) a południową Słowiańszczyzną dał Vujinović na początku spotkania, zaskoczony rosnącym w doniczce lubczykiem. U nas to roślina wykorzystywana jako przyprawa. Natomiast dla Serbów ma



znaczenie symboliczne, wyrastające z kultury ludowej. Tam istnieje przekonanie, że jeśli w wigilię św. Jerzego chłopak zerwie gałązkę lubczyku z ogródka dziewczyny, tym samym deklaruje chęć jej poślubienia. Dziewczyna chroni lubczyk rosnący w jej ogrodzie, ale też chce wyjść za mąż, więc w odpowiednim momencie powinna usnąć...

O zauroczeniu światem południowo-słowiańskim mówiono także przy okazji informacji o studiach na tym kierunku na Uniwersytecie Łódzkim. Każdego roku przyjmowanych jest ok. 20 osób. Dla większości z nich – nie ukrywano tego – wybór kierunku najczęściej wynika z przypadku. Ale zdecydowana większość poddaje się urokowi kultury i języka, a tym samym akceptuje ten przypadkowy wybór. Autora, który deklaruje się jako pisarz serbski, pytano o związki i odmienności z językiem i kulturą chorwacką, bośniacką, a nawet

słoweńską i macedońską. Języki te są bardzo podobne. W latach istnienia jednego kraju – Jugosławii, dążono do zacierania różnic, natomiast teraz podkreśla się regionalizmy i odmienności zarówno kulturowe, jak i językowe. Może dlatego kulturze tych podzielonych narodów tak trudno się przebić do świadomości odbiorców z innych kręgów. Nie znaczy to jednak, że literatura serbska czy chorwacka jest mniej bogata niż wcześniej była jako jugosłowiańska.

O ciekawej ofercie literackiej sąsiednich krajów mówił red. nac. „Tygla Kultury” Zbigniew W. Nowak. Co najmniej jeden numer tego kwartalnika każdego roku poświęcony jest literaturze wybranego kraju. Były numery z prezentacją literatury litewskiej, słowackiej, czeskiej, także serbskiej i chorwackiej. Przygotowanie go łączy się z penetracją najnowszej literatury, kontaktami z twórcami, a po opublikowaniu numer jest prezentowany w danym kraju. Dzięki takiej współpracy redakcja ma swoich reprezentantów w wielu krajach, a wiadomości o najnowszych zjawiskach, procesach i ludziach włączane są do bieżących numerów. Pismo jest także miejscem prezentacji różnych opinii na tematy związane z szeroko pojętą humanistyką autorów łódzkich. Obok numerów pisma wydawana jest Biblioteka „Tygla Kultury”, w której publikowane są książki o dużej wartości literackiej, a jednocześnie trudno akceptowane przez rynek, jak właśnie „Panika w Inter City”. Choć lektura tej książki do łatwych nie należy, autor przekonał uczestników spotkania, że warto ją przeczytać.

Krystyna Kamińska

Siedzisz na progu domu rodzinnego. Masz cztery lata. Ostatnie promienie słońca oświetlają koronę jabłoni. Blask rozlewa się i przesiąka do każdego jej owocu, a owoce są tak soczyste i słodkie. Rodziła jabłka obficie, gałęzie się pod owocami uginały. Trochę dalej od wczesnych jabłek dojrzewają inne owoce; dobry sad. Sad skąpany w blasku zachodzącego słońca. Za sadem, bardziej to przeczuwasz niż wiesz, są inne pola i sady, i ogrody, i zamki, i łąki. Między nimi płynie rzeka. Wzdłuż rzeki zwanej Jadar na stromym brzegu wiesz Rozlewę. Bo kiedyś, w prehistorycznych czasach, rozlewało się tu Morze Panońskie. Morze zniknęło. Pozostały widzialne i niewidzialne ślady tych czasów: nazwa wioski i opowieść o olbrzymim dębzie z hakiem, do którego cumowano statki pływające po Morzu Panońskim. Po dziś dzień w miejscu, gdzie rósł dąb-olbrzym, po północy rozbłyska światło i słychać nawoływanie marynarzy w dawnych, zanikłych bałkańskich

językach, i szum fal. Pozostało oczywiście pod powierzchnią ziemi trochę łupków, resztki muszli i morskich zwierząt...

To wszystko już przeminęło.

I ty, taki mały, patrzysz na wioskę na brzegu i pomiędzy wiejskimi domami dostrzegasz kopułę cerkiewki. Dach i krzyż. Promień słoneczny w krzyżu. Słońce zachodzi za ostatnie wzniesienie południowych stoków Ceru, oświetlając wąską dolinę Jadry, która wtapia się w szeroką dolinę rzeki Driny, a ona w Sawę, a ona w Dunaj, a ten wpadnie do Morza Czarnego, a ono do Morza Śródziemnego, a to do Oceanu Atlantyckiego...

Ale siedząc na progu domu ty, prawie pięciolatek, wszystko to bardziej przeczuwasz, niż wiesz, prawie czujesz: dzieje się coś prze-rażającego.

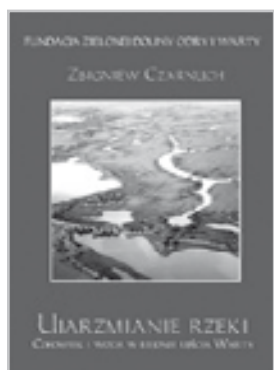
Janko Vujinović

Przełożyła Katarzyna Szot

Fragment powieści „Panika w pociągu Inter City”

Ważna książka o regionie

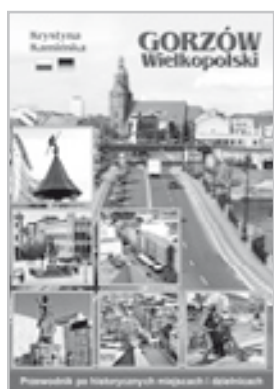
W dniu 18 czerwca (środa) 2008 r. o godz. 17.00 w sali wykładowej (I-piętro) Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej Gorzowie Wlkp. (wejście od ul. Kosynierów Gdyńskich) odbyła się promocja książki Zbigniewa Czarnucha „Ujarzmianie rzeki. Człowiek i woda w rejonie ujścia Warty” wydanej przez Fundację Zielonej Doliny Odry i Warty z siedzibą w Górzycy. Prace edytorsko-redakcyjne pod kierunkiem Krystyny Kamińskiej wykonało wydawnictwo Art.-Graf. „Arsenał”.



Spotkanie połączone było z prezentacją działalności Fundacji, które poprowadził prezes FZDOW Piotr Chara. Fundacja Zielonej Doliny Odry i Warty jest organizacją społeczną powołaną w 2006 r. Wydała m. in. „Barwy przyrody wielkich rzek Ziemi Lubuskiej” 2006, „Krajobraz kulturowy Doliny Dolnej Warty” 2007.

Gorzów Wlkp. dla mieszkańców i gości

Swoją premierę w czasie Dni Gorzowa 6-7 czerwca na nadwarciańskim bulwarze miała bogato ilustrowana, najnowsza książka turystyczna Krystyny Kamińskiej pt. „Gorzów Wlkp. – Przewodnik po historycznych miejscach i dzielnicach”, dostępna także dla turystów niemieckich, gdyż spora część tekstu tłumaczona jest na język niemiecki.



Książka zawiera propozycje czterech tras spacerowych po starych dzielnicach Gorzowa (Landsberga): po Starym Mieście, po przedmieściu Młyńskim, po przedmieściu Santockim i po Nowym Mieście. Dużo informacji o dawnych i współczesnych budynkach oraz innych obiektach, które można obejrzeć podczas wycieczki. Ponad 500 zdjęć, mapy z trasami spacerów.

Nowa książka Jana Grossa

Informujemy czytelników, że Wydawnictwo „Miniatura” w Krakowie wydało zbiór aforyzmów (ponad 500) naszego czołowego satyryka Jana Grossa.

Sporo miniatur pochodzi z pozycji „Łeb w łeb”, ale w końcu jest to samodzielna książka i dość sympatycznie wydana. Serdecznie polecamy.

Poetyckie spotkanie w Praniu

Poeeci publikujący w internecie swoją twórczość co jakiś czas spotykają się osobiście, by w realu podzielić się nowymi wierszami, przemyśleniami czy portalowymi wiadomościami. Takie właśnie spotkanie mieli w dniach 14-16 czerwca 2008 roku – forumowicze „Blejtramów słów”.

Miejsce spotkania było iście magiczne – leśniczówka w Praniu. Leśniczówka, w której wiele lat swego życia spędził Konstanty Ildefons Gałczyński. Dziś jest to Muzeum tego poety.

W trakcie spotkania rozstrzygnięty został konkurs na wiersz pod ogólnym hasłem „Pulsowanie wiosny”. Nagrodę główną otrzymała „Baszka” – Barbara Pała za wiersz „Cyganka” (patrz strona 20), a miejsce drugie zajął wiersz „Sytuacja 36” Z. Marka Piechockiego – „Chopinetto”.

Gościem specjalnym spotkania był Sylwester Pietrewicz – „Leon Gutner” z Wielkiej Brytanii. Zwycięzcom konkursu gratulujemy, zapraszając przy okazji do odwiedzania forum pod adresem www.blejtramyslow.pl.

NAGRODY I WYRÓŻNIENIA DLA GORZOWSKICH POETÓW

Marek Lobo Wojciechowski laureatem w Kutnie

„Suplement” autorstwa Marka Lobo Wojciechowskiego, wydany przez Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne „Arsenał” w Gorzowie Wlkp., otrzymał wyróżnienie w IV Ogólnopolskim Konkursie Literackim „Złoty Środek Poezji” Kutno 2008 na najlepszy debiut poetycki 2007 roku, który to konkurs odbywa się tradycyjnie pod patronatem Dwumiesięcznika Literackiego „TOPOS” i honorowym patronatem Starosty Kutnowskiego.

Uzasadniając wyróżnienie przyznane Wojciechowskiemu – juror Karol Maliszewski powiedział: „jest to niekomercyjny poeta i niekomercyjna poezja”, w sensie: niegoniąca za modą i niepisana „pod publiczność”, należy wyróżnienie to uznać za duży sukces gorzowskiego Autora.

Spośród laureatów poprzednich edycji konkursu można wymienić takie nazwiska, jak: Joanna Wajs, Jacek Dehnel, Piotr Kuśmirek czy Łukasz Jarosz.

Konkursowe sukcesy Karola Graczyka

IV Legionowski Konkurs Literacki 2007 – I nagroda

Konkurs O Wawrzyn Sąddecki – wyróżnienie

XXV Jaworska Biesiada Poetycka – wyróżnienie

IX Ogólnopolski Konkurs Poetycki im. Włodzimierza Pietrzaka – wyróżnienie.

Jury tego ważnego w polskiej geografii literackiej konkursu: Leszek Żuliński, Jan Zdzisław Brudnicki, Lech Lament, Kamila Neumann przyznało także wyróżnienie współpracującemu z „PEGAZEM” Czesławowi Markiewiczowi (Radio Zachód, Zielona Góra).

XVII Konkurs Literacki o Laur czyli Złoty Syfon Stowarzyszenia Żywych Poetów – Brzeg 2008 – wyróżnienie za opowiadanie pt. „borderline”.

Alicja Łukasik nagrodzona w Płocku

Jedna z najmłodszych poetek Grodzkiego Domu Kultury w Gorzowie Wlkp. – Alicja Łukasik – zajęła 3 miejsce w ogólnopolskim konkursie poetyckim w Płocku w kategorii gimnazjum.

Gratulujemy młodej piszącej osobie.

Ireneusz K. Szmidt gościł na święcie ukraińskiej literatury

W dniach 19-22 maja w Dniepropietrowsku odbywało się Międzynarodowe Święto Literatury Ukraińskiej wywiedzone z serca i ducha twórczości poetycko-plastycznej Tarasa Szewczenki. Na zaproszenie Związku Pisarzy Ukrainy polskich literatów reprezentował delegowany przez Zarząd Główny ZLP Ireneusz K. Szmidt – prezes gorzowskiego oddziału ZLP, red. nac. „Pegaza Lubuskiego”.

Tydzień spędzony w mieście do niedawna „zamkniętym” (kosmos, rakiety itp.) wypełniony był szeregiem spotkań, uczestnictwem w wernisażach, spektaklach i koncertach. Z zagranicznych gości święta, obok delegata z Polski, uczestniczyli pisarze m.in. z Armenii, Białorusi, Gruzji, Japonii, Kazachstanu, Litwy, a nawet dalekiej Australii. Wspaniała gościnność gospodarzy, artyzm imprez towarzyszących i warsztatowy spotkań literackich był na najwyższym poziomie. Ukazało się wiele artykułów w prasie ukraińskiej i towarzyszących wydarzeniu albumów, książek, czasopism i katalogów. Nasz delegat nie mógł bez pomocy współpasażerów postawić swojej walizki na półce slipingu.



Barbara Pała to rodowita gorzowianka ur. 26 czerwca 1960 r. Z zawodu księgowa, studiowała na Uniwersytecie Szczecińskim Finanse i Bankowość. Kiedy dzieci stały się samodzielne i prawie dorosłe (córka 22 lata, syn 17), zaczęła mieć czas dla siebie i swoich pasji.

Pierwsze jej wiersze ukazały się w internecie w 2004 na portalu „Kraina Wierszy”, następnym etapem był portal „Oaza Ciszy” Henryka Wolany i całkiem od niedawna, bo od grudnia 2007, portal literacki „Postscriptum” i „Blejtramy słów”, gdzie w sobotę 14 czerwca wygrała konkurs „Pulsowanie Wiosny”. Dotąd nie wysyłała swoich wierszy na żadne konkursy, ale w końcu się odważyła.

Kocha książki, bardzo dużo czyta, uwielbia jazz, muzykę Czajkowskiego, SDM, muzykę irlandzką i żydowską, no i oczywiście poezję, którą zaczyna i kończy każdy dzień. Bardzo lubi podróże - w marcu wróciła po prawie rocznym pobycie w Alpach, w Austrii, w Niemczech i Szwajcarii. Jest idealistką, chociaż wie, że takim ludziom źle bywa na świecie.

CYGANKA

z dymnych ognii z leśnego igliwia
płynie łąka w uliczne kurzawy
inni staną i będą podziwiać
szumem szeptów i spojrzeń ciekawych

jak żywioły odrodzeń i zniszczeń
w błyskawice gdy ciska oczyma
szpak z uciechy się wzbija i gwiżdże
do koralu co chciałby zatrzymać

ty daj rękę kochasiu posłuchaj
wiosną każda kabała się spełnia
za dnia gwiazdy na ziemi ty szukasz
ale zapłać nim zaczniesz się ściemniać

z chmurnych powań w ulotnych gałgankach
zwiewna mglistość kwiecistej spódnicy
lekkim krokiem odchodzi cyganka
żywa woda źródlanej krynicy

SONATA DLA SNU

Sennym bytem w półjawie przed szarością świtu
czasem nie wiem czy jestem ginąc pod muślinem
błady zaprzęg obłoków nocnym niebem płynie
woziwoda gdzieś zwija sznur rosy z błękitów

przy ogrodach gdzie pawie strzępy zwidzeń budzą
mgły tam siedzą na zboczach jakby chciały latać
znad przestrzeni gdzie sięga srebrzysta sonata
dzwoni zarys cienisty nikłą taflę krusząc

długich godzin spędzonych przy jasnych cykadach
nikt dokładnie nie zliczy nie czekaj wyjaśnień
choćby przyszło do bramy kolejnej kołatać

rzeczywistość jest teraz a raj jeśli zaśniesz
kiedy dusza do tego nie należy świata
tylko snem nieskończonym można widzieć baśnie

POŻYCZONY WIATRAK

czasem cudze życie ktoś na tarczy wniesie
obcych słów znakami zapisze jak swoje
czyjeś roztargnienia czyjaś cicha jesień
i żadnych nadziei że to zmierzech urojeń

takie same światy jakby ziarnka maku
za spojrzeniem gesty rzucone przytomniej
jednak wiem że oczy wymyślone z kwiatów
sobie przynależne chociaż mówią do mnie

za daleko prawdy leżą od znaczenia
żeby stać pod światłem roznieconym wcześniej
szklane słońce pęka i w cichnących lśnieniach
zblawatniejają łąki już nie tak boleśnie

NOC

noc kolejna do kątów nadeszła
cichuteńko w filcowych podeszwach
stawia gwiazdy rozrzutnie w gromadach

luną świecy coś w szybie się złoci
jakbyś złudą codziennie tam chodził
a to miraż z bezsensów się składa

bez poręczy do świata nie umiem
jak mam dotrzeć do świtu bez zdumień
i na śmierć się nie skłócić z tęsknotą

smutne twarze osuszyć z wilgoci
samotnością nikomu nie szkodzić
lecz nie o to wszak chodzi nie o to

by dopisać postscriptum do życia
muszą być w najczulszych odbiciach
w tłących żarach co nigdy nie gasną

a ty duszę już włóczysz po marach
ja tu ciągle pilnuję zegara
żeby czas swój przegapić i zasnąć

Łukasz Linkiewicz

WSZYSTKO CZEKA

Nikt nie przestawał mówić
słowa jak rzeka płynęły

Litery, które wypadły z listu
w podróży do ukochanej

Pies z kulawą nogą,
co kot go podrapał

Chłopak, który w język ugryzł
dziewczynę

Sypkie słowa w dzienniku —
jak mak niepoliczone

Wszystko czeka na twoje zdanie —
nawet niedokończone

2006

* * *

Tak szybko odeszli, by szybciej
powrócić
jak mróz z bukietem kwiatów
z walizką pełną kartek

Tak jak mama co w kolejce
po chleb ciągle stała
tak bardzo powszedni,
że aż bolało

Ci, co odeszli, zgubili okulary
i słuchając ptaków
mogą znaleźć drogę

Co byś powiedział, gdyby cię prosili
o parę wskazówek
jak siebie odnaleźć?

TYLKO

Sala gada

Głowy pełnoobrotowe
cukierki w poczęstunku

Uśmiechy rzucanemu i ówdzie
dyskursy

Tylko

Cisza znowu bezdomna

sterczy pod metalowymi
drzwiami

ADRES

Poprzez pukanie
Wchodzę

Uchylam kolorową
szybę nowych drzwi

Nie wyważam —
uważam

Przekraczam progi
twoich domów —
trzeci próg za mną

Serce biegnie
ku fotelowi twoich
żartów
na którym jeszcze wczoraj
siedziały —
razem z nami

szukam zielonych neonów
twojej duszy i ciała
pólek pełnych twoich myśli

A tu pies nowy
i kawa innej marki —
zapach jej nie mówi mi że
czekasz

Dziwię się —
kolejny raz zmieniasz swój

adres

IDEALIZACJA

Idea idealna:
idealnie gdy idealnym
idealnie idea daje się we znaki

Znakomicie gdy znakomitym
w ich głowach
znakomitości i inne idee
idealnie
rodzą się niczym w gniazdach ptaki

Wspaniale gdy wspaniałym
idealne znakomitości
ideały i idee — bez słabości
nie występują jako
braki

Dobrze gdy dobrym a nawet
wspaniale lub też znakomicie
gdy idealne idee
przyśnią się

Idealnie gdy myśl
znakomitych idei daje wiele

idealnie jednak
idealizować
o świetle

15 LAT GORZOWSKIEGO UNIWERSYTETU TRZECIEGO WIEKU

Ludzie starsi też mają możliwość świadomego ingerowania w swój rozwój

Nasz Uniwersytet to społeczność składająca się ze słuchaczy i profesorów. Przez wszystkie minione lata związali się z nami wspaniali ludzie. Zajęcia prowadzą na wysokim poziomie za niskie wynagrodzenie bądź zupełnie nieodpłatnie. Organizujemy pracę dla ludzi, którzy zakończyli pracę zawodową. Nie stosujemy żadnych ograniczeń wieku ani wykształcenia. Jesteśmy otwarci na wszystkie propozycje naszych słuchaczy. Wybraliśmy najbardziej demokratyczną strukturę organizacyjną. Jesteśmy organizacją pozarządową. Każdego roku przybywa nam słuchaczy. Rok 2007/2008 rozpoczęło 470 osób.



Podstawowe zadania UTW to:

1. Poprawa jakości życia osób starszych poprzez włączanie ich do systemu kształcenia ustawicznego. W naszym uniwersytecie działa łącznie 41 sekcji i grup problemowych. Słuchacze mogą zgodnie ze swoimi zainteresowaniami uczestniczyć w zdobywaniu i utrwalaniu wiedzy z wielu dziedzin nauki. Wykorzystujemy możliwości, jakie dają: wykłady, pokazy, internet, medycyna i środki przekazu do pogłębiania wiedzy. Mamy wspaniałych wykładowców, którzy przez całe lata przygotowują: wykłady, ćwiczenia, warsztaty. Wielu z nich to nasi wolontariusze.

2. Aktywizacja intelektualna, psychiczna i fizyczna.

Mamy pełną świadomość, że człowiek nie żyje samą wiedzą, dlatego UTW jest miejscem pełnej szczęśliwej samorealizacji słuchaczy. Celem uniwersyteckich spotkań jest w równym stopniu podtrzymywanie sprawności tak umysłowej, jak i fizycznej, psychicznej i społecznej. Oprócz otwartych wykładów zarówno audytoryjno – akademickich czy też specjalistycznych, wygłaszanych podczas zajęć poszczególnych sekcji, organizujemy seminaria i naukę języków obcych. Dzięki temu każdy narząd ludzkiego ciała, każda komórka otrzymuje odpowiednie bodźce do normalnego aktywnego funkcjonowania. Ćwiczenia pamięci zmuszają mózg do aktywnego wysiłku. Nasi słuchacze dzięki intelektualnym ćwiczeniom i pracy umysłowej oddalają poczucie starości.

3. Nauka zdrowego życia i wydłużenie profilaktyki gerontologicznej.

Sztuka starzenia się to sztuka dojrzewania. Problematyce zdrowia i stosunku do własnego organizmu poświęcamy w naszym UTW dużo miejsca. Sekcje przedmiotowe zajmujące się tymi problemami przeznaczają dużo miejsca na omawianie zasad higieny, przekazywania praktycznych umiejętności, naukę profilaktyki zdrowotnej, prawidłowego żywienia. Każdego roku organizujemy dla naszych słuchaczy dwa turnusy rehabilitacyjne i dodatkowo jeden wyjazd integracyjny do

ciekawych kurortów w kraju. Nasze sekcje: turystyczna, tańca terapeutycznego, gimnastyki rehabilitacyjnej i zajęcia na wolnym powietrzu działają wzorcowo i są podziwiane nie tylko przez słuchaczy.

4. Organizacja zajęć kulturowych, życie samorządowe, obywatelskie i społeczne słuchaczy.

Nasz Uniwersytet wypracował wiele form, by wyjść naprzeciw potrzebom osób w starszym wieku, by nikt ze słuchaczy nie czuł się zagubiony w cywilizacyjnym pośpiechu. Jest to ważne, żyjemy bowiem w epoce wzmożonej aktywności, konkurencji i kultu młodego pięknego ciała. Właśnie dlatego, by nie odstawać od młodych, uruchomiliśmy sek-

cje: plastyki, wokalną, taneczną. Sami tworzymy i uczestniczymy w tym, co dzieje się ważnego w środowisku naszego życia społecznego. Nie chodzi zatem wyłącznie o ustawiczne kształcenie, ale również o stwarzanie warunków do spotkań z innymi ludźmi, uczestnictwo w ważnych wydarzeniach kulturowych, społecznych i obywatelskich. Nasz Uniwersytet takie szanse stwarza, pozwala uczestniczyć w różnych wydarzeniach, realizować marzenia, na które wcześniej, w zabieganym życiu rodzinnym czy zawodowym nie było czasu.

Pracujemy we wszystkie dni tygodnia, posiadamy własną siedzibę: to wymaga dużych, jak na nasze możliwości, nakładów finansowych. Wszyscy słuchacze płacą czesne i wnoszą różne opłaty związane z wyjazdami, plenerami, warsztatami. Nie są to jednak wystarczające sumy. Czesne wynosi 50 zł na semestr. Nie możemy zwiększyć wkładu finansowego naszych słuchaczy, bowiem są to ludzie o niskich dochodach. Zdobytymi środkami z różnych fundacji i funduszy pomocowych, także unijnych.

W samoocenie, a jest ona bardzo ważna, słuchacze twierdzą, że: uniwersytet umożliwia im aktywną realizację marzeń w okresie ich dojrzałości, umożliwia aktywny udział w życiu społecznym i obywatelskim, dodatkowo wpływa na rozwój osobowości, rozbudowuje ich postawy i zainteresowania twórcze, umożliwia przekazywanie społeczeństwu osobistych doświadczeń, pozwala na realizację ambitnych celów, przedłuża życie w otoczeniu piękna i szacunku do człowieka.

Edward Korban

(Prezes Stowarzyszenia UTW)



Krótką refleksja o gorzowskim Uniwersytecie Trzeciego Wieku

Z wielką przyjemnością i satysfakcją od wielu już lat współpracuję z tą specyficzną gorzowską uczelnią i jestem przekonany, że umieszczenie w nazwie szacownie brzmiącego członu „uniwersytet” nie jest przesadą ani nadużyciem. „Uniwersytet” kojarzy się z miejscem zdobywania i poszerzania wiedzy. Pochodzi on przecież od „powszechności”, „wielostronności”. Ta „powszechność” wyraża się chociażby dostępem do zajęć dla wszystkich chętnych oraz sposobem przekazywania wiedzy przez wykładowców. A „wielostronność”, z kolei, to przede wszystkim bogata oferta tematyczna – mowa jest o tym w książce Krystyny Kamińskiej wydanej na jubileusz 30-lecia UTW.

Spotykałem się z tymi specyficznymi studentami jako prelegent, a później próbowałem być pomocnym na innym polu. Zawsze, zarówno podczas moich wykładów o przyrodzie i literaturze, jak i w czasie zajęć innych prelegentów, pozytywnie zaskakiwała mnie bardzo wysoka frekwencja (a nikt nie sprawdza listy obecności!), autentyczne zainteresowanie, zadawanie pytań (a nie ma żadnych indeksów ani zaliczeń!), dyskusja, a często też indywidualne rozmowy ciągnące się długo po oficjalnym zakończeniu zajęć. Po prostu: słuchaczami są ludzie żądni wiedzy, którym w ten właśnie sposób umożliwia się pogłębianie zainteresowań i to nie tylko w miejscu ich zamieszkania. Jeśli w którymś z miast lub miasteczek odległych od Gorzowa nawet o kilkadziesiąt kilometrów odbywa się jakieś interesujące wydarzenie kulturalne (spotkanie autorskie, wystawa, recital) lub naukowe (konferencja albo sympozjum), możemy mieć pewność, że na widowni pojawią się także słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku z Gorzowa Wlkp. z JM Rektorem – Edwardem Korbanem na czele. Przeszkodą do odbycia podróży zapewne nie będą jakieś dysjunkcje ani dolegliwości, częste przecież w wieku emerytalnym.

Mój przez całe życie bardzo zapracowany Tato często powtarzał, że największym błędem życiowym jest oczekiwanie na wiek emerytalny jako na okres, w którym najważniejszym zajęciem będzie przesiadywanie w fotelu przed telewizorem, a wysiłkiem – naciskanie guzików pilota. Taki emeryt – i tu brutalna prawda – z reguły krótko pobiera należne mu świadczenia... Trzeba jednak wiedzieć, że nie każdy potrafi sam sobie zorganizować zajęcia i właśnie naprzeciw zarówno takim, jak i aktywnie poszukującym wychodzi ze swoją ofertą Uniwersytet Trzeciego Wieku.

Na zakończenie jeszcze jedna, tak samo jak poprzednie – mało odkrywczą, ale jakże ważną – cechą tej uczelni. Dla wielu ludzi tak zwany wiek poważny czy też trzeci to czas... samotności. Uniwersytet Trzeciego Wieku oferuje możliwość integracji, spotkań z rówieśnikami posiadającymi te same lub zbliżone zainteresowania, okazję do rozmów i to nie o ostatnio przeżytych lub nabytych chorobach. I tak trzymać!

Ludwik Lipnicki

(do marca 2008 przewodniczący Rady Naukowej UTW)

Dodawanie latom życia...



...w przyjacielskim gronie

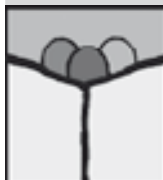


...przy biesiadnym stole



...z piosenką

PEGAZ LUBUSKI Czasopismo literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP. Red. nac. **Ireneusz K. Szmidt**, z-ca red. nac. **Beata P. Klary**, sekretarz redakcji: **Danuta Zielińska**, współpraca: **Krystyna Kamińska**, rysunki: **Jacek Lauda**, zdjęcia: **I. K. Szmidt**, **M. Tur-ska**, archiwum wydawcy i autorów wydawcy: **WAG „Arsenal”**, ul. J. D. Janockiego 31, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 95 7220 958, 0 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, **Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna**, ul. Sikorskiego 107, tel. 957277070, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl
Skład komputerowy: **Daniel Besta** 0 694 479 087.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

TADEUSZ SZYFER

CECHY CHARAKTERU

Ni honorem, ni dumą szczyli się elita,
Lecz niepohamowanym pędem do koryta!

PRZYKRYCIE

Zwłaszcza beret mohairowy
Przed postępem chroni głowy...

RYZIKO LEGENDY

Wciąż mam wątpliwości, czy tak w życiu będzie,
Żeby z brzydkich kacząt wyrosły łabędzie.

PROFILAKTYKA

Niejeden polityk, zanim władzy liżnie,
Winien się zaszczepić przeciwko wściekliwości.

POLITYKOM...

Droga do kariery nie zawsze jest dobra,
Gdy na kaczyczych dołach wpadnie się po ziobra!

MISYJNY HANDEL

Nie chcą od nas kupować mięsa kraje bratnie?
Chyba, że ... armatnie!?

SKRÓT MYŚLOWY

Niejednego p o s ł a męczy problem teraz:
Skąd się tutaj wzięła ta pierwsza litera?

NAWET PO WYBORACH

Dalej się foruje skuteczną metodę;
Albo fotomontaż albo PiS na wodę.

KUKUŁCZE OSTRZEŻENIE

Może nawet orzeł z rozpaczny zakracze,
Gdy mu podłożymy znów dwa jaja kaczce...

NADZIEJA

Może nasze losy na lepsze się zmieniać,
Gdy niektóre kaczki odlecają jesienią?

DO PRZEWIDZENIA

Niejednemu posłowi, nim kadencję skończy,
Przedwyborczą ulotkę zamienia w list gończy!

FERDYNAND GŁODZIK

WSZYSTKO PRZEMYSŁANE

I

Gdy Wójt się na drugą kadencję wybierał,
o planach na przyszłość napisał referat;
wysilił na maksa swój lotny intelekt
by zadbać o gminy żywotny interes.

Poszerzył ulice, załatał w nich dziury,
docenił rolnictwo i rozwój kultury;
wiekowych rencistów ochronił od biedy,
a młodym zapewnił mieszkania na kredyt.

Wszystko przemysłane,
wszystko w dobrej wierze,
wszystko zgodnie z planem,
wszystko na papierze.

II

Gdy w myślach przeliczał efekty stokrotne,
sążnisty referat położył na oknie;
a wiatr jak listonosz, co hulał w dolinie,
pochwycił referat i rozniósł po gminie.

Fruwały po polach publiczne finanse;
podrosły wskaźniki, zwiększyły się szanse;
entuzjazm podskoczył gdzie było go mało,
ruszyły sondaże, nowością powiało.

Wszystko przemysłane,
wszystko w dobrej wierze,
wszystko zgodnie z planem,
wszystko na papierze.

III

Ścieliły się kartki dywanem na trawie,
niektóre rozmokłe pływały po stawie,
frunęły hen w krzaki, kałuże i dziury,
szczypały je gęsi, dziobały je kury.

Robaki w śmietniku dostały białaczki,
rozmokłym papierem dławiły się kaczki,
Rozwiał po gminie koncepcje i słowa;
Przepadły bez echa, pożarła je krowa.

Resztę skonsumował
domowy inwentarz;
kaczka, gęś i krowa
wójta popamięta.



Rys. J. Landa

PEGAZ LUBUSKI